Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

№ 22 — CENA 40 gr.
WARSZAWA
16-IX-1934 R.

WIR ŚWIATA
tygodniowa rewja prasy

DZIŚ W NUMERZE:

SUKCESY DYPLOMATYCZNE FUEHRERA

HITLER OTRZYMUJE ODZNACZENIA CAŁEGO ŚWIATA



1. Polska darzy go orderem „Polonia Restituta" za zapewnienie na 10 lat „korytarza gdańskiego".
2. Anglja daje mu order „Podwiązki" za to, że przyczynił się do rozwoju lotnictwa brytyjskiego.
3. Austrja odwdzięcza mu się za pomoc w utrzymaniu niepodległości.
4. Włochy odznaczają go „Koroną Italji" za udałą próbę mobilizacji.
5. Francja wręcza Legję Honorową za zgromadzenie dokoła Francji jej dawnych sojuszników.
6. Sowiety, wreszcie, przypinają mu order Lenina za doprowadzenie do sojuszu francusko-rosyjskiego.

„Marianne" Paryż.

NORYMBERGA A RZECZYWISTOŚĆ

Plaga donosicielstwa w Niemczech

W prastarem mieście frankońskiem Norymberdze odbyły się na olbrzymią skalę uroczystości spowodu rocznicy założenia partji narodowo-socjalistycznej. Za wspaniałą dekoracją marszów i pochodów norymberskich kryje się wstydliwie rzeczywistość niemiecka.

W pewnym wielkim domu czynszowym przy Badensche str. w Wilmersdorf pod Berlinem, od pewnego czasu podawano sobie z ust do ust jakieś tajemnicze wieści:

— Jakto, pan nic nie wie... Nic pani nie zauważyła. U D. dzieje się coś niezwykłego. W nocy schodzi on do piwnicy i przez długie godziny słychać stamtąd hałas jakiejś maszyny. To jeszcze nie wszystko. Jacyś nieznani ludzie wychodzą od niego z wielkiemi pakami, ot, takiemi...

I lokatorzy wydają ostateczny sąd:

— D. ma potajemną drukarnię ulotek komunistycznych.

Aż pewnego ranka pani F. nie mogąc dłużej znieść ciężaru tej wielkiej tajemnicy, pobiegła do komisarjatu, aby zadenuncjować pana D.

Śledztwo, dokonane przez policję stwierdziło naturalnie, że nietylko pan D. nie był niebezpiecznym komunistą, ale w piwnicy jego nie było nigdy najmniejszego śladu maszyn drukarskich i że jemu samemu nigdyby nie przyszło do głowy to, o co go podejrzewali jego sympatyczni sąsiedzi.

W ten sposób nie pan D., lecz pani F. stanęła przed sądem pod zarzutem „fałszywego i złośliwego oskarżenia". Sędziowie skazali ją na 4 miesiące więzienia, poczem przewodniczący zakończył swe przemówienie w ten sposób:

„Ten rodzaj kobiet jest poważnem niebezpieczeństwem dla przyzwoitych mężczyzn. Dlatego też uważano za wskazane wydać surowy wyrok".

„Berliner Boersen Zeitung", Berlin.

Wydatki Rzeszy na propagandę zagraniczną

Oświadczenie D-ra Schachta, że rząd Rzeszy w bieżącym roku budżetowym przeznaczy tylko ekwiwalent 10 miljonów funtów szterlingów na propagandę zagraniczną, wywołało w Londynie wielkie zdumienie i oburzenie.

Wcale nieźle, jeżeli jakiś rząd może sobie pozwolić na wydawanie dziesięciu miljonów funtów szterlingów rocznie na zjednanie sobie sympatyj zagranicy. Przykre jest to, że fakty te dochodzą do wiadomości publicznej opinji świata w chwili, kiedy dr. Schacht ogłasza moratorjum.

Nie od rzeczy będzie też zauważyć, że pieniądze te były bardzo źle użyte, albowiem w ciągu osiemnastu miesięcy Niemcy nie odzyskały nic z prestiżu, który utraciły od chwili, kiedy Hitler doszedł do władzy.

„News Chronicle" Londyn.

Znieść uniwersytety!

„Der Stuermer" niezadowolony z uniwersytetów niemieckich

Organ Streichera, osławiony „Stürmer", jest bardzo niezadowolony z tego, co się dzieje na uniwersytetach niemieckich. Określa on sfery uniwersyteckie jako „trabantów opozycji" i twierdzi, że czynniki wrogie regime'owi stanowią tam przynajmniej 60%, o ile nie więcej, ogólnej liczby profesorów i słuchaczy.

Na ławkach znajdują się napisy „Precz z N. S. D. A. P." W aulach uniwersyteckich można znaleźć egzemplarze „Stürmera" z napisami:

— Kiedy wreszcie to haniebne piśmidło będzie zawieszone?

Studenci coraz namiętniej czytają pisma zagraniczne i to z całą świadomością znalezienia tam ujemnych sądów o dzisiejszem państwie.

Uniwersytety, jako wylęgarnie opozycji, dojrzały już do tego, by je zamknięto.

W poniedziałek miał się odbyć z okazji Zebrania akademji prawa niemieckiego cykl wykładów na temat: „Co jest niemieckie?"

M. in. miał się odbyć również wykład profesora Mitteis'a na temat: „Co jest niemieckie w prawie niemieckiem?"

Profesor Mitteis jest dobrze znany, jako liberalny demokrata, nieprzychylny dla narodowego socjalizmu. Nic więc dziwnego, że wykład, i to jeszcze na taki temat, został przez akademję z programu wykreślony.

Już podczas pierwszych przemówień można było zauważyć *karczemny nastrój*, który pod koniec przeszedł w zwierzęce wycie i wrzaski. Wielu studentom odebrano legitymacje. Następnego dnia sala była podczas wykładu profesora Mitteisa przepełniona i jeszcze w korytarzach tłoczyły się tłumy słuchaczów. Na katedrze leżał wspaniały bukiet kwiatów.

Pewien członek S. S. chwycił go i poszarpał. Było to jedyne słuszne wyjście. Na to aula odpowiedziała znowu nieludzkiem wyciem i hałasami, aż dziekan sam musiał przywoływać do porządku.

Przed zakończeniem wykładu miał się odbyć wiec. Kiedy ktoś zaczął przemawiać, stojący blisko niego członek S. S., wyciął mu tak siarczysty policzek, że nieborakowi już się takie sprawy na przyszłość odechcą. To stało się hasłem gwałtownego zamieszania, podczas którego obie strony nie oszczędzały się nawzajem. To wszystko trwało dość długo, wkońcu jednak udało się aulę opróżnić i bójka przeniosła się na korytarze.

„Der Stürmer", Norymberga.

P. Alfred Rosenberg a analfebeta

W jednej ze swoich mów, przedrukowanych przez „Völkischer Beobachter", Alfred Rosenberg, „Reichsleiter" od polityki zagranicznej, wyraził się, że Włochy powinnyby się raczej zająć swojemi 20% analfabetów, zamiast wypominać Trzeciej Rzeszy jej barbarzyństwo. Niżej drukujemy odpowiedź włoską na te słowa.

Mógłbym był przeczytać jakąś żywą i palącą stronicę moich drogich i nieśmiertelnych przyjaciół Wolfganga Goethego lub Henryka Heinego; nie czynię tego, bo, że te stronice straciły już swoją świeżość, którą natomiast zachowują nienaruszoną w całej pełni te stronice lakonicznego Tacyta, które zawierają jego sądy o germanach, sądy tak trafne, że nie można się oprzeć podejrzeniu, iż zegar niemieckiej historji duchowej zatrzymał się w owych czasach zamierzchłych.

Co za szkoda, że nie Tacyt napisał zdanie Owidjusza *rudis indigestaque moles* (nieokrzesana i niestrawna ociężałość).

Kiedy dowiedziałem się o pogardliwej inwektywie Rosenberga na temat nędznych analfabetów Południa Włoch, postanowiłem udać się do jednego z takich analfabetów, by się z nim rozmówić. Udaję się do niego — mówię zupełnie poważnie — przy każdej poważnej okazji i zawsze, ilekroć duch mój potrzebuje natchnienia i siły. I wracam zawsze obładowany mądrością, tą nieśmiertelną mądrością przodków. A kiedy wyczerpię swój zapas, powracam do niego, zawsze hojnego i szczodrego.

Jest to wspaniały typ starego górala. Trzy miesiące w roku żyje w zdrowem i wesołem towarzystwie swoich bydlątek, swoich sosen i swojego nieba; piękna silna głowa, oczy niebieskie, głębokie, potężne szczęki, wąsy spływające, nos orli, usta zmysłowe. Barki, jak u Atlasa, piersi szerokie, ręka twarda i szczera, stopy prawdziwego syna gór.

Usiadł przy trzaskającem ognisku i zaczął mówić:

Widzi pan, ja jestem zawsze ten sam, stałem się tak samo twardy, jak ta skała. Tu śród głazów urodziłem się i tu żyłem. Przypominam sobie nawet żandarmów Franciszka Józefa. Matka nauczyła mnie czcić Boga. Ojciec wszczepił we mnie niezachwianą pewność, że trzeba żyć jako człowiek uczciwy. Nie zaznałem innej kobiety prócz mojej. Sypiałem w sianie aż do dnia swojego ślubu. Ile zdrowia, ile spokoju! Nie kłóciłem się nigdy z nikim i nie wiem, co to znaczy złościć się. Jeżeli się nawet rozgniewam, jestem jak błyskawica! po wybuchu niebo znów jest pogodne. W zażyłości ze zwierzętami nauczyłem się być dobry z ludźmi a surowy względem siebie samego. Żona urodziła mi dziewięciu synów; dwaj padli, jako strzelcy alpejscy na froncie. Jeden jest doktorem, drugi zarobił trochę pieniędzy podczas swoich wędrówek po świecie. Zaś córki moje są wszystkie matkami dzieci zdrowych, jak moi synowie, jak ja. Nie piję, tylko w dzień odpustu i na Boże Narodzenie wypiję kieliszek.

Jestem analfabetą, bo było za daleko do szkoły wiejskiej, a tu nie było żadnej. Lecz mimo to nauczyłem się tylu rzeczy; nikomu nie jestem winien grosza, wszyscy mnie lubią i szukają mojego towarzystwa, nawet panowie, bo mówią, żem jest człowiek rozsądny. Rozsądku nauczyły mnie surowe słowa mego ojca, klapsy matki i codzienny ciężki trud. I nie czytałem innej książki prócz tej, którą pan widział dziś rano, księgę nieba zawsze otwartą, nieba słonecznego, zachmurzonego, gwieździstego, księgę czarnych sosen, jodeł zawsze zielonych, wody czystej, krowy pasącej się, orła szybującego w przestworzach, lisa, który kradnie: jednem słowem wielką księgę Stwórcy.

Czyż jest możliwe porównanie tego południowego analfabety, to znaczy włoskiego, z niejednym Herr Profesor nordyckim, to znaczy aryjskim?

Uniwersalność Romy ogarnia czas i przestrzeń, tę glebę, w której zakorzeniła się rewolucja Mussoliniego.

A niebo italskie jest największą i najdoskonalszą księgą na świecie. Biada temu, który nie nauczy w niej czytać.

„Il Popolo d'Italia", Medjolan.

Modlitwa — protestem przeciwko Hitlerowi

Dziesięć tysięcy ludzi zebrało się wówczas w katedrze moguńckiej. Górale przynieśli zdaleka ogień w swoich lampach, by nim zapalić światła nad grobem wielkiego biskupa społecznika Ketelera.

Przypadek chciał, że tego samego wieczora Hitler wygłaszał w Reichstagu swoją mowę, usprawiedliwiającą wypadki z 30 czerwca. Z tego skorzystała policja, aby podczas transmitowania mowy, zabronić wszelkiego rodzaju innych manifestacyj.

Wiernym, zebranym w katedrze, podano to również do wiadomości. Śpiewy ucichły i kazanie przesunięto na godzinę 22, lecz nikt z obecnych nie ruszył się z miejsca. Wszyscy czekali spokojnie. Wtem rozległy się śród tłumu słowa modlitwy, potężniały, stawały się coraz bardziej żywiołowe, i z tysięcy serc płynęła modlitwa żarliwa i dostojna. Trwało to aż do godziny 22-giej, kiedy kaznodzieja mógł wstąpić na ambonę.

„Illustrazione Vaticana", Citta del Vaticano.

KARA ZA WZMIANKĘ O TYM PROTEŚCIE

Muckermana wezwano przed władze miejscowe do przerwania wydawania „Katholische Korrespondenz", a to spowodu zamieszczenia notatki o tej swoistej manifestacji katolickiej przy grobie wielkiego biskupa społecznika Ketelera.

„Pariser Tageblatt", Paryż.

Mussolini mówi z politowaniem o hitleryzmie

Na otwarcie Targów Lewantyńskich w Bari Mussolini wygłosił przemówienie w którem sławił cywilizację śródziemnomorską i z pogardą wyrażał się o „pewnych doktrynach zaalpejskich". Nie bez znaczenia jest również fakt, że pierwszym pawilonem, który Duce zwiedził, był pawilon francuski

„...Naród włoski dał w ciągu swojej potrzykroć tysiącletniej historji wprost przygniatające przykłady organizacji prawnej, politycznej i społecznej (Burzliwe oklaski).

Morze Śródziemne jest niewątpliwie morzem południowem. Nad brzegami tego właśnie morza powstały wielkie filozofje, wielkie religje, wielka poezja i imperjum, które pozostawiło nie zatarte ślady w historji wszystkich narodów cywilizowanych. (oklaski).

Trzydzieści wieków historji pozwala nam patrzeć z królewskiem politowaniem na pewne doktryny z tamtej strony Alp, wyznawane przez potomków tych, którzy jeszcze nie znali pisma i nie mieli czem przekazać pamiątek swego życia, podczas gdy Rzym już miał Wergilego, Cezara i Augusta"...

„Corriere della Sera", Medjolan.

Zapomniano że to żyd

Akademja ateńska przyjęła na uroczystem posiedzeniu Profesora D-ra Alfreda Philipsona w poczet swoich członków. To uczczenie niemieckiego uczonego zasługuje na tem większą uwagę, że tak uroczyste przyjęcie obcokrajowca nastąpiło po raz pierwszy od założenia akademji ateńskiej.

„Voelkischer Beobachter", Berlin.

Prof. Dr. Alfred Philipson jest synem rabina Ludwika Philipsona, założyciela „Allgemeine Zeitung des Judentums".

„Jüdische Rundschau", Berlin.

Nie wiedział kogo ratował

W Niemczech opowiadają sobie, oczywiście na ucho, następującą anegdotkę:

Hitler ma zwyczaj odbywania codziennie o świcie spacerów konno, gdy aleje Tiergartenu są jeszcze zupełnie puste. Pewnego dnia koń jego stanął nagle dęba i pozbył się jeźdźca, który spadł na ziemię i stracił przytomność.

Jakiś przechodzień, widząc zemdlonego człowieka, podbiegł i udzielił mu pomocy.

Hitler oprzytomniał i ściskając rękę swego zbawcy, rzekł:

— Zrobię dla pana wszystko, czego pan tylko zażąda! Gdyby nie pan, spewnością nie żyłbym już! Czy pan wie, że uratował pan Führera?

— Ah, to pan jest Führerem! Na miłość Boską, niechże pan nikomu nie mówi, że uratowałem panu życie! Oto moja jedyna i gorąca prośba...

„Vendémaire", Paryż.

Konserwa francuska nie zapomina długów carskich

Ograniczymy się do jednego tylko zagadnienia, mianowicie do długów przedwojennych. O tem się nie mówi. Dlaczego zapomina się, że Rosja pożyczyła we Francji w latach od 1867 do 1909 przeszło 15 miljardów franków w złocie? Za czasów Brianda łączono stale sprawę ewentualnego nawiązania stosunków z Rosją ze sprawą długów carskich. I dziś nie wolno nam łączyć naszej polityki z nową Rosją, zanim ona nie wywiąże się ze zobowiązań dawnej Rosji. Domagamy się tego w imieniu wszystkich francuzów, którzy w owych czasach dali się schwytać na wędkę zbyt obiecującej przyjaźni francusko-rosyjskiej.

„Le Jour", Paryż.

Rosja w Lidze a Locarno Wschodnie

Ten program polityczny, który dąży do rozwiązania sprawy bezpieczeństwa drogą sprowadzenia Sowietów do Ligi Narodów i zrealizowania Locarna Wschodniego, zyskał aprobatę całego rządu francuskiego i ma za sobą całkowite poparcie Anglji i Włoch. Nie uszło uwadze obserwatorów, że rzadko kiedy zgodność mocarstw zachodnich była tak pełna i całkowita. Wiadomo, że Polska zajmuje stanowisko negatywne wobec tego paktu, w którym widzi podwójne niebezpieczeństwo: albo Niemcy wejdą do tej gry, by rozbroić obrońców porządku, albo Niemcy nie wejdą i Warszawa stanie się zakładnikiem Moskwy. Polacy nie są przeciwni wstąpieniu Rosji do Ligi Narodów, może dlatego, że sądzą, skoro Rosja przystąpi do paktu Ligi, nie trzeba już będzie Locarna Wschodniego.

„Le Journal", Paryż.

Sowiety a klauzule mniejszościowe

Do Genewy nadeszła nota rosyjska w sprawie przystąpienia Rosji do Ligi Narodów. Nota ta jest sformułowana w duchu pojednawczym w stosunku do ewentualnych zarzutów ze strony Polski. Rosja zgadza się na postępowanie rozjemcze, pod warunkiem jednak, że nie będzie ono obejmowało spraw zaszłych przed wstąpieniem jej do Ligi. Rosja dalej oświadcza, że podporządkuje się klauzulom mniejszościowym wynikającym z traktatu ryskiego. Polska może się w tem ostatniem oświadczeniu dopatrywać wyrzeczenie się ze strony Sowietów wnoszenia skarg mniejszościowych, na forum genewskie, kiedy już będą członkiem Ligi.

„Neues Wiener Journal", Wiedeń.



Dyrektor sowieckiej fabryki staje do raportu:
— Aby tylko nie oglądali mnie stylu i nie sprawdzali!

„Za Industrjalizacju, Moskwa.

ZJAZD PISARZY SOWIECKICH W MOSKWIE

Organ Komitetu organizacyjnego Związku pisarzy sowieckich „Literaturnaja Gazieta“ ogłaszał podczas zakończonego niedawno zjazdu „dzienniczek“ zjazdowy, z którego wyjmujemy najciekawsze ustępy:

W Moskwie, dnia 26 sierpnia r. b., w sali kolumnowej Domu Związkowego rozpoczął się Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy Sowieckich. W zjeździe brali również udział przedstawiciele innych narodów, sympatyzujących z charakterem piśmiennictwa w ZSRR, m. in. *Marcin Andersen Nexö* (Danja), *André Malraux* (Francja), *Teodor Plivier* (Niemcy), *Jakub Kadri* (Turcja).

REFERAT RADKA

Zjazd rozpoczął się od obszernego referatu *Karola Radka* na temat literatury współczesnej. Literatura współczesna — według Radka — datuje od czasu wojny światowej. Trzy ważne wydarzenia historyczne są sprawdzianem kierunku i treści literatury: *wojna światowa, rewolucja w Rosji oraz zdobycie władzy przez faszyzm* w wielu krajach europejskich.

Autor zajął się w swym referacie szczegółowem rozpatrzeniem ustosunkowania się piśmiennictwa europejskiego do tych trzech faktów historycznych.

Referat Radka wywołał długą i burzliwą dyskuję, w której zabierali głos i przedstawiciele zagranicy.

M. in. przemawiał poeta chiński *Emi-Siao*, który mówił o szkodliwem zapalaniu się do egzotyki, charakteryzującem pisarzy, dalekich od chińskiej rzeczywistości i nie mających zrozumienia dla jej zagadnień; zdaniem jego opisy literatów europejskich wypaczają obraz tego, co się dzieje w Chinach.

Po przerwie na salę obrad wchodzą delegaci robotników tulskich i wręczają prezydjum zjazdu podarki dla znakomitego pisarza proletarjackiego *Maksyma Gorkiego:* strzelbę oraz samowar, jeden ze słynnych tulskich samowarów.

Po zakończeniu dyskusji zabiera głos referent K. Radek; przedewszystkiem wyraża zadowolenie, że dyskusja była taka żywa i treściwa. Celem jego referatu było wyodrębnienie zasadniczych zagadnień współczesnej literatury międzynarodowej. Najważniejszy cel pisarzy rewolucyjnych — to stworzenie kadr literatury proletarjackiej.

Wielkie zainteresowanie wśród słuchaczy wzbudził fragment przemówienia Radka, nawiązujący do osoby pisarza francuskiego André Malraux, autora słynnej powieści „La condition humaine“. Jak wiadomo, za powieść tę autor otrzymał nagrodę im. Goncourt; członek Akademji *François Mauriac* napisał o tej książce bardzo pochlebną recenzję — aczkolwiek Malraux wyraźnie odżegnywa się od obozu burżuazyjnego i opowiada się po stronie zdobyczy sowieckich. Zdaniem Malraux, ta pozorna bezstronność opinji francuskiej ma na celu skuszenie utalentowanego pisarza na „tamtą stronę barykady“, jest próbą jego charakteru i odporności.

Pierwszy dzień Zjazdu kończy się rezolucją, wniesioną w imieniu delegacyj: uzbekskiej, turkmeńskiej, azerbejdżańskiej, ormiańskiej, gruzińskiej, białoruskiej i ukraińskiej.

M. in. tekst rezolucji zawiera wyrazy braterskiego pozdrowienia pod adresem *Romain Rollanda, André Gide'a, Henry Barbusse'a, Bernarda Shaw'a, Teodora Dreisera, Upton'a Sinclair'a i Henryka Manna.*

W dwa dni później przyszła depesza od Romain Rollanda treści następującej:

„Głęboko wzruszony Waszem pozdrowieniem, które jest najpiękniejszą nagrodą mego życia, przesyłam drogiemu Maksymowi Gorkiemu, wszystkim pisarzom na Zjeździe oraz wielkiemu Narodowi Związku Rad braterskie pozdrowienie.

Będziemy walczyli o swobodę, o kulturę proletarjacką, o pokój — aż do zwycięstwa!

Romain Rolland.“

TEATR SOWIECKI

Następny dzień Zjazdu był poświęcony zagadnieniom sowieckiej dramaturgji.

Jeden z referentów, *W. Kirpotin*, starał się wyłuszczyć, na czem polega odrębność dramaturgji sowieckiej od dramaturgji innych narodów: otóż przedewszystkiem na stosunku do tematu, na optymistycznem nastawieniu i charakterze sztuk, na istocie konfliktów, w których człowiek stale i niezmiennie występuje jako pan swego losu, nie zaś jako ofiara przeznaczenia.

Słaba strona dramaturgji sowieckiej polega na publicystycznem zabarwieniu sztuk teatralnych, na szwankującej kompozycji utworów scenicznych, na braku kultury słowa, na bezkrytycznem stosowaniu starych form do sztuk o innych, współczesnych założeniach. Architektonika utworu — aby odpowiadała nowoczesności — musi się wywodzić z pełnej natężenia pracy nad rozbudową nowych form sztuki, nie na zapożyczaniu przestarzałych i strupieszałych kanonów.

Na brak tematu współczesne piśmiennictwo rosyjskie nie może się uskarżać: trudność sprowadza się nie do zagadnienia, *o czem pisać*, lecz: *jak pisać.*

Skolei zabiera głos *Aleksy Tołstoj*, witany gorącemi oklaskami całej sali.

PREZYDJUM KONGRESU PISARZY SOWIECKICH



Od lewej strony: A. Bubnow, komisarz do spraw oświecenia publicznego, Aleksy Tołstoj, znany powieściopisarz i dramaturg oraz M. Kolcow, dziennikarz.

CO TO JEST SZTUKA SCENICZNA

Zaczyna on od charakterystyki epoki, epoki wielkich przemian; lata, które idą, wymagają od jednostek męstwa, bohaterstwa, niezłomności. Zadaniem literatury jest odzwierciedlenie okresu dziejowego.

Przechodząc do twórczych zamierzeń sowieckiej dramaturgji, A. Tołstoj stwierdza, że dramaturgja ta nie stoi tak na wysokości zadania i wymagań epoki, jak powieść rosyjska. Trzy pierwiastki teatru — dramatopisarz, aktor i widz — jeszcze nie są zespolone w jeden twórczy kolektyw, i dlatego też teatr tylko w słabym stopniu spełnia zadania wyraziciela twórczości mas.

Cztery podstawy sztuki dramatopisarskiej, to umiejętność kompozycji scenicznej, sztuka prowadzenia djalogu, wyczucie czasu teatralnego i wyczucie widowni.

Dobra architektonika utworu scenicznego polega na tem, aby widz musiał w ciągu trzech godzin zaznajomić się z dziejami osób, występujących w sztuce, z historją całkowicie ukończoną. Czytając powieść, zużyłby na ten cel kilka dni, obserwując życie potoczne — lata całe. Stąd wniosek: sztuka musi być powiązana logicznie, nie może w niej być nic zbędnego, nic przypadkowego.

Umiejętność prowadzenia djalogu scenicznego wywodzi się z wnikliwości psychologicznej autora i z plastyki jego wyobraźni: autor musi *słyszeć* każde zdanie, które kładzie w usta postaciom scenicznym, i widzieć towarzyszący mu gest.

Dalej, zagadnienie czasu: zegarek w kieszeni widza i zegar jego przeżyć wskazują inne godziny. Ten rozdźwięk autor musi uzupełnić oszczędnością słowa i ruchem na scenie: wszystko, co zbędne, należy poświęcić na rzecz zwartości i natężenia akcji.

Wreszcie wyczucie widowni: według Tołstoja autor dramatyczny przy wypełnianiu tego warunku zdaje egzamin społeczny. Nawiązanie kontaktu z widownią, wyczucie woli mas jest dostępne tylko twórcy, mającemu do masy stosunek świadomy i pełen ufności w jej artystyczną dojrzałość.

W imieniu aktorów sowieckich zabrał głos *A. Tairow.*

DRAMATURG TO INŻYNIER.

Następnie na trybunę wstępuje *A. Afinogieniew*, który podkreśla, że dramaturga obowiązują takie same żelazne prawa, jak inżyniera, że zadaniem jego, podobnie jak inżyniera, jest świadoma konstrukcja, nie zaś sucha rejestracja uczuć ludzkich, i że nie należy rozpraszać się na wyszukiwanie „nowych uczuć“, lecz wykazać raczej, jak zwykłe, powszednie uczucia zmieniają się i przeobrażają w nowych warunkach, osiągając nowe, inne właściwości i cechy.

Po tym mówcy skolei przemawia *Borys Ławrenjew.* Pisarz ten odbył w ubiegłym roku podróż na Zachód (był m. in. w Warszawie, gdzie na zaproszenie PEN Clubu wygłosił odczyt na temat zagadnień, nurtujących piśmiennictwo sowieckie).

Z podróży tej wyniósł przekonanie, że pisarstwo dramatyczne na Zachodzie jest u schyłku — lecz mimo to wartoby autorom sowieckim zapożyczyć od dramaturgów zachodnio-europejskich ich znajomość rzemiosła, ich znawstwo techniki teatralnej i umiejętność kompozycji.

CZAS PRZYWRÓCIĆ MIŁOŚCI JEJ PRAWA

Dalej, Ławrenjew nawiązuje do ubóstwa tematyki w sztuce sowieckiej. Przez pewien czas zagadnienia miłości i romantyczności były skazane na banicję. Mówca powołuje się na swą intymną pogawędkę z tow. *Kosarewem.*

Kosarew zadał mu pytanie:

— Dlaczego wy wszyscy piszecie o miłości albo jak kastraci, albo jak weterynarze? Przecież młodzież sowiecka czuje tak samo, jak inni ludzie, kocha, cierpi spowodu zazdrości, spowodu wątpliwości miłosnych — a wy jej nakazujecie uciekać od wszelkiej aluzji do miłości, każecie jej się zasłaniać ważnością „posiedzeń“ czy protokółów“!

Przez pewien czas krytyka sowiecka tępiła problemat miłości na scenie, jako przesąd burżuazyjny. Dziś, zdaniem Ławrenjewa, już czas przywrócić temu zagadnieniu należne miejsce.

KRYTYKA TOLLERA

Z cudzoziemców zabierał głos *Ernst Toller*, który w przemówieniu swem gorąco namawiał pisarzy sowieckich do nawiązania kontaktu z Zachodem, do uczestniczenia w zjazdach międzynarodowych, choćby celem zamanifestowania pionierskiego stanowiska ZSRR; pozatem, niemniej ważnym celem byłoby poznanie duszy człowieka Zachodu, tak odrębnej od duszy rosyjskiej. Toller zarzuca Sowietom, że na festiwal teatralny przygotowały sztuki tak pozbawione znamion charakterystycznych dla współczesnej sztuki sowieckiej, jak... „Dama Kameljowa“ Dumasa lub „Urjel Akosta“ Gutzkowa. Raczej powinni przecież pokazywać turystom z zagranicy sztuki o swoistym kolorycie.

Ostatnie słowo w dyskusji przypada japońskiemu reżyserowi *Kidzikato*, który mówi o ogromnym wpływie literatury sowieckiej na proletarjackie piśmiennictwo japońskie.

Trzeci dzień Zjazdu zajmuje zagadnienie poezji sowieckiej, której trzygodzinny referat poświęca *N. Bucharin*

Główna część tego referatu przypada na omówienie charakterystyki twórczości poetów sowieckich. Bucharin rozpoczyna od nakreślenia sylwetek trzech wielkich poetów Rosji rewolucyjnej: *Błoka, Jesienina i Briusowa.*

Najbardziej — według Bucharina — do zagadnień rewolucji zbliżył się Walery Briusow, niezasłużenie zapomniany chorąży rosyjskiego słowa; zadaniem współczesności winno być przywrócenie pamięci wybitnie interesującego oblicza tego poety.

Cała sala zrywa się z miejsc żywiołowo, gdy Bucharin wygłasza nazwisko *Majakowskiego.* Autor referatu charakteryzuje poetycką moc tego poety, wyjątkową rolę, jaką spełnił w nadaniu nowych form poezji sowieckiej, w wzbogaceniu jej nowemi metaforami i nową rytmiką.

Dalej Bucharin rozpatruje twórczość innych poetów, jak *Pasternaka, Tichonowa, Asiejewa, Żarowa, Demjana Biednawo* i inn.

Referat Bucharina wywołuje ożywioną dyskusję.

Następnego dnia m. in. zabiera głos *Wiera Inber*, która podkreśla, że współcześni twórcy sowieccy nie umieją podchodzić szczerze i z prawdziwem odczuciem do takiego zjawiska psychicznego, jak radość. Entuzjazm i radość to tylko deklaracje w tytułach poszczególnych wierszy, treść natomiast bynajmniej nie kipi rozradowaniem.

Przemówienie *Borysa Pasternaka* odznaczało się wielką zwięzłością, ale i zarazem wysokim stopniem nasycenia uczuciowego — treść jego stanowiła charakterystyka epoki wielkich procesów dziejowych i naszej współczesności.

Dalsze obrady polegały na próbach wytyczenia zasadniczej linji poezji sowieckiej.

„Literaturnaja Gazieta“, Moskwa.

Pierwszy mecz w polo w Moskwie

Ambasador U.S.A. sędziuje w najbardziej arystokratycznej grze

Niedawno rozegrano w Moskwie pierwszy mecz w polo, między dwiema drużynami, w skład których wchodzili, prócz jednego amerykanina, sekretarza ambasady U. S. A., sami oficerowie czerwonej armji. Sędziował ambasador C. Bullit.

Ten ewenement sportowy nie jest pozbawiony pewnego znaczenia politycznego, jeżeli się uwzględni, że ambasador Bullit i jego sekretarz Charles Thayer przez sześć tygodni z zapałem uczyli sowieckich oficerów gry w polo, ku wielkiemu zadowoleniu komisarza wojny Woroszyłowa, który przyglądał się rozgrywce w towarzystwie trzech wyższych oficerów.

Woroszyłow, jego otoczenie i komisarz Litwinow, który również był obecny, spożyli przedtem śniadanie w ambasadzie amerykańskiej w atmosferze tak serdecznej, jakiej nie potrafił dokoła siebie wytworzyć żaden inny przedstawiciel dyplomatyczny w tym kraju.

Mecz odbył się na rozległem polu po drugiej stronie rzeki Moskwy. Nadrabiano braki techniczne energją. Jeżeli jednak uwzględni się krótki trening, przyznać trzeba, że czerwona armja jest w polo, jak w swoim żywiole. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu pięciu lat ekipy rosyjskie będą mogły ubiegać się o poważne tytuły w grze w polo.

Po rozgrywce komisarz Woroszyłow, który przez cały czas nie szczędził oklasków, gratulował obu stronom spowodu rycerskiej i udałej rozgrywki.

„The New York Times“, Nowy Jork.

FILIŻANKĘ HERBATY, PROSZĘ?

DZIEJE SZLACHETNEGO TRUNKU

Od chwili, kiedy okręty kompanji wschodnio-indyjskiej przywiozły do Europy pierwsze próbki herbaty, ilość miłośników tego wonnego trunku pomnożyła się ogromnie. Oczywiście różne kraje świata zupełnie nierównomierny biorą udział w konsumcji herbaty. Anglja i Chiny stoją na czele, te dwa kraje same konsumują 83% całej produkcji światowej. Z 485 miljonów funtów herbaty, które Anglja rocznie importuje, corocznie przypada na każdego mieszkańca wysp brytyjskich bez względu na wiek, przeciętnie sześć filiżanek dziennie. Chiny, mające ludność przeszło dziesięć razy liczniejszą, konsumują tylko dwa razy tyle.

W pewnym odstępie idą potem Japonja, Holandja, Rosja, podczas gdy takie kraje, jak Niemcy, Francja i Stany Zjednoczone razem wzięte nie mogą konkurować z temi miljonami filiżanek herbaty, które Anglja sama rocznie wypija. Tę dysproporcję można częściowo tłumaczyć okolicznością, że Anglja i Holandja są państwami kolonjalnemi i że handel karawanowy poprzez pustynię Gobi oddawna obsługiwał wymianę towarów między Rosją a Chinami. Ale niezależnie od tego musi istnieć w tych krajach szczególne zapotrzebowanie na herbatę u ludności. Obok krajów konsumujących wielkie ilości herbaty, istnieją kraje, w których przeważa konsumcja kawy. Może sama historja herbaty da nam pewne wyjaśnienia w tej sprawie.

Z rzęs mnicha — wyrosła pierwsza herbata

Chińczycy łączyli z herbatą od czasów zamierzchłych właściwości lecznicze i mieli wobec niej nastawienie raczej religijne. Legenda głosi, że w siódmym wieku po Chrystusie zjawił się w Chinach pobożny mnich, który obciął sobie powieki, by mu sen nie przeszkadzał w rozmyślaniach religijnych. Z rzęs tego nabożnego mnicha wyrosła potem roślina, której soki służą do odpędzania snu.

Ten cudowny napój ascetów stał się sczasem napojem narodowym najskromniejszego w swych wymaganiach narodu na kuli ziemskiej. Ze zdziwieniem donoszą już pierwsi misjonarze portugalscy, że cała ludność Chin pije zamiast wina „ciepły odwar rośliny, odpędzającej sen". Niewątpliwie napój ten odpowiada charakterowi narodówemu chińczyków i wielu poetów, a śród nich i cesarz Kien-Lung, do którego Voltaire pisywał listy poetyckie, sławiło w natchnionych wierszach ten trunek narodowy. Najdobitniej sławi właściwości herbaty poeta z XI wieku, Su-Tung-Po, powiadając:

— Herbata użycza myślom umiaru, a duchowi harmonji; odpędza ociężałość i usuwa zmęczenie; oddala senność, odświeża ciało i umożliwia jasną, spokojną kontemplację.

Tak się więc stało, że w Państwie Smoka kultura herbaty stała się miernikiem wysubtelnionej sztuki życia. Liczne obrzędy są połączone z przygotowywaniem i podawaniem herbaty. Obrzędy te stanowią przedmiot specjalnej nauki. Łagodna uprzejmość, opanowanie i wdzięczna subtelność chińczyka i japończyka są nabyte w salonie, gdzie podają herbatę.

Towarzyski charakter herbaty objawia się w Chinach już przy jej zbieraniu. W Chinach uprawia się herbatę w małych ogródkach, a nie w wielkich plantacjach, jak w Indjach brytyjskich. Cztery razy do roku między kwietniem a październikiem, zbiera się rodzina i sąsiedzi, by dokonać zbioru herbaty. Kobiety zrywają młode listki palcami, ale w sposób bardzo higjeniczny, podczas gdy mężczyźni je sortują.

Zebrane liście przechowuje się przez pewien czas w cieniu, potem następuje najważniejszy proces osuszania i wypalania. Najpierw robotnik nabiera w rękę liści ile tylko może i ubija je w kule, by z nich wycisnąć soki. Potem kładzie się te liście na patelnię i ogrzewa nad ogniem, przy równoczesnem ciągłem mieszaniu. Następnie zwija się je nanowo i suszy na specjalnych półkach, aż herbata jest zupełnie sucha i traci około trzech piątych swojej wagi.

Po ukończeniu tej trudnej pracy wieśniak idzie ze swoim zbiorem do kupca, który ponownie herbatę sortuje i pakuje w skrzynie. Wtedy dopiero wywozi się czarną herbatę do Europy i Ameryki, a sami chińczycy piją inaczej przygotowaną „zieloną" herbatę, której aromat jest mocniejszy, ale smak o wiele słabszy.



Zbiór herbaty na większych plantacjach w Japonji

Wrogowie herbaty

Rozumie się, że nie każdy może sobie pozwolić na filiżankę herbaty dziennie, wtedy bowiem konsumcja herbaty w Chinach byłaby jeszcze większa. Każdorazowe zbieranie trwa około dziesięciu dni, przyczem pierwsze liście są najlepsze. Produkcja roczna herbaty w Chinach przedstawia wartość miljarda funtów szterlingów. Można sobie przeto wyobrazić, że podczas zbierania herbaty cały naród znajduje się na nogach, że w tradycyjnej i trudnej sztuce suszenia herbaty zawarta jest silna więź narodowo-społeczna.

W Europie nie odrazu zorjentowano się, dlaczego azjaci cenią ten odwar z „siana". Tu ludzie byli przyzwyczajeni do mocniejszych trunków, jak do piwa i do wina domowego wyrobu. Tylko nieliczni zrozumieli, jakie siły cywilizujące zawarte są w tym aromatycznym napoju, i że szkoła pijania herbaty jest równocześnie szkołą dobrego smaku i kultury. Nawet w Anglji, gdzie już w 60 lat po wprowadzeniu, herbata miała licznych zwolenników, pisały o niej pisma humorystyczne jako o „impertynenckiej inowacji wieku".

Miłośnicy wina, brandy i befsztyków nie mogli zrozumieć, jak można się zachwycać „tą niegodną praktyką indyjską, tym słabym trunkiem, nadającym się najwyżej dla kobiet". Pewna dama ostentacyjnie kazała sobie zwykle podawać po obiedzie i na przyjęciach szklankę porteru i fajkę, zamiast herbaty. Również lekarze mieli wątpliwości i obawy. Jeden nawet pisał, że, jak Hipokrates nie szczędził trudu, aby z Aten usunąć zarazę, tak on sobie za cel życia postawił wytępienie tego szaleństwa pijania herbaty chińskiej.

Jednak wysiłki przyjaciół herbaty i propagatorów abstynencji, szczególnie dworu królewskiego i szlachty wiejskiej były skuteczniejsze. Organizowano Tea-Parties, specjalne przyjęcia, gdzie podawano herbatę, później powstały specjalne ligi „Tea-Totaller'ów", co w angielskim języku znaczy abstynentów. Na Tea-parties dawano nawet bezpłatnie sandwicze, by zwabić gości.

Dla europejczyka, pracującego zawodowo, herbata ma to samo prawie znaczenie, co dla trzeźwego i umiarkowanego chińczyka. W sławnych słowach, które królowa Wiktorja wypowiedziała przy objemowaniu urzędowania „Podajcie mi szklankę herbaty i „Times"", streszcza się spory okres historji Anglji i współczesnej Europy.

Wielkie interesy

Jasne jest, że wraz z rozszerzaniem się konsumcji herbaty i handel nią zaczął zataczać coraz szersze kręgi, a przedewszystkiem zrodziło się dążenie do uwolnienia się od monopolu eksportu chińskiego. W ten sposób powstały plantacje herbaty na Ceylonie, w Indjach i w kolonjach holenderskich.

Najwięcej jednak w tym kierunku zrobili japończycy. W plantacjach angielskich, holenderskich i japońskich dawno znikły patrjarchalne, tradycją i religją uświęcone zwyczaje ogrodów herbacianych w Chinach.

Królowie herbaty operują olbrzymiemi kapitałami, same plantacje indyjskie mają za sobą kapitał 100 miljonów dolarów, zaś plantacje japońskiej rodziny kapitalistów Mitsoui, największych plantatorów herbaty na świecie, opierają się o kapitał 300 miljonów dolarów. Warto zauważyć, że większość europejskich koncernów węglowych i stalowych nie może się wykazać takiemi kapitałami.

Jednak i przy tych olbrzymich obrotach i w tak wielkich zakładach herbata nie straciła zupełnie swojej właściwości miernika indywidualnej kultury jednostki. Nawet nowoczesne koncerny muszą przy przyrządzaniu mieszanek polegać na smaku i węchu specjalnego znawcy, który oczywiście jest świetnie opłacany. Niczem ostatni potomek starych chińskich znawców śpieszy on przy zastawionym stole, od filiżanki do filiżanki i kosztuje, polecając przytem mieszanki dla podniesienia właściwości gatunku herbaty. On jest ostatnią romantyczną postacią w nowoczesnym handlu herbatą. Ale nawet tu wielkopański amator kultury herbacianej zamienił się w naszych czasach w wyspecjalizowanego fachowca.

„Uhu", Berlin.

KAWA

Powoływanie się na tradycyjne niszczenie kawy w Brazylji, jako na argument, dowodzący niezdolności kapitalizmu do racjonalnego podziału dóbr, należy już do stereotypowych tez gazetowych. Jednak nie zadano sobie trudu, by sprawdzić w jakich rozmiarach to niszczenie kawy się odbywa.

Na podstawie relacji „Department of Commerce" w Waszyngtonie można sobie urobić dokładne zdanie o tym procederze.

Niszczenie kawy zaczęło się w r. 1930. Na wielką skalę podjęto ten środek sztucznego utrzymania cen dopiero w r. 1931. Od czerwca 1931 do maja 1934 zniszczono ogółem, przez spalenie lub wrzucenie do morza, 27.913.704 worków kawy po 60 kilo każdy. Równocześnie „Instytut plantacyj kawy w Sao Paulo" zniszczył 479.000 worków tej samej wagi.

Razem więc zniszczono 28 miljonów worków kawy, w kilogramach daje to miljard 700 miljonów kilogramów.

Najciekawsze zaś jest, że tę olbrzymią ilość kawy przeznaczonej na zniszczenie, rząd brazylijski musiał od plantatorów odkupić, płacąc nogach że w tradycyjnej i trudnej sztuce suoczywiście z funduszów państwowych.

„Europeische Hefte", Praga.

Żółte niebezpieczeństwo w Indjach holenderskich

Przybyliśmy do Bali w chwili, gdy pewna stara amerykanka wysiadała z wspaniałego samochodu, otoczonego liczną rzeszą dzieci, przyglądających się z ciekawością cudzoziemce. Nagle otworzyła ona usta i wyjęła sztuczne zęby, które otworzyła i zamknęła z trzaskiem. Na ten widok bronzowe dzieciaki z Bali uciekły w popłochu. Chodzą one coprawda do kina i są przyzwyczajone do tłumu turystów, nawiedzających ich wyspę, ale jednak w tym wypadku była to jakaś djabelska sztuczka: zęby, które same gryzą!...

W Kedaton powiedziano nam, że tancerki z Legon nie piłują już swych ząbków na ostro, i że nie lakierują ich na czarno. Widzieliśmy, jak stare kobiety malują tancerzy i tancerki z Djanger mąką szafranową, aby wyglądali jak starożytne figurki ze złota.

Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale są obecnie rzeczy o wiele bardziej interesujące dla turystów: zamieszki, które pół wieku temu kosztowały tyle krwi, grożą dzisiaj powtórzeniem się. Po tylu latach pokojowej kolonizacji wszędzie widzimy niepokój i niezadowolenie.

Z Bali udaliśmy się do Nusa-Kambegan, wyspy Kwiatów. Znajduje się ona na południe od brzegów Jawy. Jakieś 30 lat temu rząd holenderski postanowił, że wyspa Kwiatów będzie miejscem deportacji. Walka przeciwko Atjahom, góralskim szczepom północnej Sumatry, trwała przeszło pół wieku i tysiące żołnierzy holenderskiej armji kolonjalnej zginęło w niej. Mimo nadludzkich wysiłków, całkowite opanowanie tych prowincyj okazało się niemożliwe. Zaledwie oddziały wysłane dla poskromienia awantur, opuszczały te okolice, natychmiast wybuchały nowe zamieszki. Dlatego też musiano wysłać wszystkich buntowników na odległość 1500 km. od ich wiosek; w ten sposób plemiona Atjahów sprowadzono na wyspę Kwiatów, gdzie musiały pracować w gęstych, dziewiczych lasach. Wkrótce potem pozabijali oni swych dozorców i uciekli na kilku barkach, które burza zagnała aż do wybrzeża; mordowali i grabili na Jawie, poczem skryli się w górach Sumatry. Pozwolono im sprowadzić swoje kobiety i uciekinierzy zaprzestali napadów na bogate wsie jawajskie.

Ale oto na Sumatrze rozpoczęły się nowe zamieszki. I znowu wysiedla się Atjahów i Bataharów, najinteligentniejszych tubylców Sumatry.

Świat dowiedział się o nastroju panującym wśród tubylców w kolonjach holenderskich wskutek buntu, który wybuchł na krążowniku „De Zeven Provincien". Od tej chwili nie słyszymy nic o tamtejszych gwałtach i rewoltach. Dlaczego?

W wioskach jawajskich można wyżyć za 35 centimów dziennie; pozatem można pracować na Sumatrze przy budowie dróg, przyczem władze holenderskie nie są zbyt surowe dla tubylców. Jawa i Sumatra są nadal bogate, mimo krachu cukru i kauczuku. To nie głód sprzyja tutaj rozwojowi komunizmu. Bronzowi mieszkańcy wysp Sundzkich, agitowani przez wytrawnych agentów, zaczynają rozumieć to, o czem wiedzą oddawna masy w Indjach i w Indochinach, murzyni z Keneya i tubylcy z Filipin: skarżą się na białych, którzy zabrali im ziemię; chcą rządzić się sami.

Wszędzie znajdujemy oddziały policji. Każdy wójt-tubylec posiada najnowszy model aparatu radjowego, tem niemniej nieład panuje nadal i setki tubylców wysiedla się na wyspę Kwiatów, jak również do innych odległych miejscowości. I znowu słyszy się o ucieczkach deportowanych, grabieżach i morderstwach.

Mogłem się o tem przekonać osobiście, mieszkając u pewnego plantatora holenderskiego,

(Dokończenie na str. 5)

Miłość u pierwotnych indjan Guahibów

Miłość wśród indjan Guahibów, którą miałem możność obserwować podczas pobytu w mało znanych okolicach, na granicy Venezueli i Columbji, jest prymitywna aż do brutalności. Jest to miłość bez żadnych osłon.

Człowiek cywilizowany, dla którego wszystko to, co dotyczy miłości, jest sprawą osobistą, poufną, dla którego życie seksualne jest zawsze czemś „zabronionem", czemś „wstydliwem" — z trudem może sobie wyobrazić niezwykłą wolnomyślność, z jaką indjanie Guahibo traktują te sprawy, tak drażliwe i subtelne dla nas.

Mężczyźni, kobiety i dzieci nie znają wstydu, żyjąc w kraju tropikalnym, prawie nago. Noszą jedynie rodzaj przepaski i bynajmniej nie krępują się, wkładając i zdejmując ją publicznie, jak również uchylając ją, gdy... mój Boże... zajdzie tego potrzeba! A jeżeli miłość, oczywiście fizyczna, tak samo jak u nas, jest sprawą nocną, dzieje się to nie dlatego, że odczuwają oni jakiś wstyd, ale poprostu, bo tak jest wygodniej.

Często wśród nocy, we wsiach, gdzie się zatrzymywałem, dochodziły mnie z uśpionych chat znaczące dźwięki: piski, jęki i głuche westchnienia. Ci, których te odgłosy budziły, nie byli z tego powodu ani źli, ani oburzeni. Przeciwnie, śmiechy i sprośne żarty sypały się pod adresem szczęśliwej pary, bezwstydne uwagi, od których okoliczne małpy musiały się chyba rumienić! Oczywiście, wszystko to w niczem nikomu nie przeszkadzało i tak zawiązywały się niebywałe djalogi, w których brały udział nawet kobiety, łącznie z zainteresowaną. Często też do ogólnej „konwersacji" dołączał się cienki głosik jakiegoś dziecka, które powtarzało to, co mówili starsi, potwierdzając, że się tak wyrażę, techniczne szczegóły, komplementy lub krytykę, a wszystko to z rozbrajającą niewinnością.

Sprośne języki

Jeżeli ktoś pragnie być poważany przez Guahibów, w życiu codziennem, jako dobry kompan i wesoły towarzysz, musi używać często w rozmowie najskandaliczniejszych wyrazów, dotyczących spraw seksualnych, organów płciowych etc. Ten sposób wysławiania się wprawia wszystkich w dobry humor i tworzy wesoły nastrój. Ponieważ akt płciowy jest uważany przez nich za najwyższe szczęście (większe nawet, niż jedzenie lub... lenistwo), wszystko, co dotyczy go, sprawia im radość, ożywia twarze i pobudza do śmiechu. Kobiety często zachęcają mężczyzn do czynu, chwaląc tych, którzy umieją wziąć się do rzeczy, lub wyśmiewając tych, którzy nie wykazali dostatecznej zręczności.

Dzieci, które od najmłodszych lat są świadkami „zabaw" rodziców, mają tę samą mentalność. Wychowywane w zupełnej swobodzie, nigdy nie strofowane, ani bite, naśladują we wszystkiem starszych. Tak samo jak dziewczynka bawi się w „kuchnię" przynosi wodę, rozpala ogień, a chłopczyk strzela z małego łuku, który dostał od ojca lub starszego brata, tak samo, z chwilą, gdy tylko podrastają, bawią się w „miłość", co wywołuje u starszych wesołość, niepozbawioną często sentymentu.

Ciężki jest los kobiety Guahibo. Jej najszczęśliwszy okres, to dzieciństwo, i krótki czas, kiedy, oficjalnie uważana za dziewicę i jeszcze niezamężna, może czerpać rozkosz, gdzie jej się podoba, nie będąc niewolnicą domową swego małżonka.

Rozkosz ta jest zresztą bardzo względna... Guahibo nie znają pocałunku, obce im są pieszczoty; w najlepszym wypadku mężczyzna okazuje kobiecie swe uczucia, szczypiąc ją i szturchając!



Młodziutkie dziewczęta przystrojone na wesele.

Akt, najzwyklejszy i najbardziej zwierzęcy akt — oto cała miłość, jakiej doznaje kobieta. Ale i to jest względne! W przeciwieństwie do tego, co się dzieje u nas, gdzie kobieta jest tem więcej doceniana, im czynniejszy bierze udział w przyjemności mężczyzny, im bardziej jest wyrafinowana w pieszczotach — kobieta Guahibo musi leżeć bezwładnie w ramionach swego pana i władcy.

Indjanka Guahibo, któraby okazała mężczyźnie, że odczuwa, jak to się mówi, gorąco jego uścisków i która chciałaby towarzyszyć mu w tej słynnej, krótkiej podróży, jakże często opiewanej przez poezję i literaturę, urazićłaby szacunek mężczyzny. Jej czynny udział w zapasach miłosnych uważany byłby przez niego za obelgę. Oburzony do żywego, odepchnąłby ją, mówiąc:

— Kto z nas dwojga jest właściwie mężczyzną — ty czy ja?

Kilkakrotnie przekonałem się, że kobiety, które miały przypadkiem stosunek z metysami, lub białymi, unikają od tej chwili miłości mężczyzn swej rasy.

Smutny los kobiety

Bóg tylko wie, jak smutny i nie do pozazdroszczenia jest los tych małych przyjaciółek indyjskich. Czytelnicy wybaczą mi tragiczną prozę wypadku, który przeżyłem i który posłuży za dowód okropnego życia tych kobiet.

Aby pojechać wdół do Rio Meta, jednego z niezliczonych dopływów Orinoko, zaangażowałem do pomocy murzyna, metysa i indjanina, którzy w jakiejś wiosce w Columbji załadowali na łódź indjankę Guahibo, mającą gotować nam strawę. Oczywiście moi trzej służący liczyli, że będą mogli sobie używać dowoli z tą kobietą, przyczem i ona niczego innego od nich nie oczekiwała.

Ale w drodze nastąpiło przykre rozczarowanie. Dotknięta jakąś chorobą wewnętrzną, nasza indjanka leżała po całych dniach w końcu pirogi, odmawiając pracy, której się podjęła, mimo najbrutalniejszych wymysłów i złorzeczeń mych ludzi. Niezdatna ani do pracy, ani do miłości, stała się dla załogi zbędnym i antypatycznym balastem. Ponieważ jednak olbrzymie przestrzenie po obu stronach Rio Meta są niezamieszkane, nie odważyli się porzucić jej samej w lasach. Pewnego dnia napotkaliśmy pirogę pocztową, jadącą powoli w górę rzeki; załoga jej składała się z samych metysów. Mój metys, Canuto, wpadł na pomysł:

— He, ho! — krzyknął do załogi tamtej pirogi — nie chcielibyście kobiety?!

— Co takiego?

— Kobiety, mówię wam!!..

— No, oczywiście! Czy to poważna propozycja?

— Pewnie, że poważna.

— Gdzież ona jest, ta twoja kobieta?

— Tu, nie widzicie jej?!

— Dobra, przysłać ją do nas! Prędko!!

— Zbliżcie się! — zawołał wówczas metys.

W chwilę później obie pirogi znalazły się obok siebie, i Canuto rozkazał indjance przenieść się na łódź pocztową. Kobieta uczyniła jakiś niewyraźny ruch, zdradzający chęć oporu, ale napróżno! Już zrezygnowana, przeniosła się na drugą łódź.

— Wiecie — uważał za stosowne dodać Canuto (oczywiście dopiero wtedy, gdy on i jego towarzysze pozbyli się tej kobiety) — ona jest chora i jeszcze was wszystkich zarazi!

— Nic nie szkodzi — odkrzyknęli tamci, śmiejąc się — już my jej damy radę — a zresztą mamy cytryny!..

Ci prostacy — może zresztą słusznie — uważali sok cytrynowy za doskonały i niezawodny środek profilaktyczny.

Jakkolwiek prymitywne życie indjan nie przewiduje żadnych subtelności sercowych i zmysłowych, co dla nas, ludzi Zachodu, jest ideałem szczęścia, to jednak daje obu płciom pewne rekompensaty, nad któremi należałoby się zastanowić. Ponieważ nie znają wyłączności i nierozerwalności małżeństwa, elastyczność ich moralności małżeńskiej oszczędza im wielu zmartwień. Cudzołóstwo i wynikające z niego krwawe utarczki, są tam nieznane. Widzi się często kobiety, wydawane zamąż przez swych rodziców — tradycyjne prezenty odgrywają przytem wielką rolę — które uszczęśliwiają jednego lub kilku stałych lub przypadkowych adoratorów; mąż jest zawsze o tem doskonale poinformowany, a często bywa nawet naocznym świadkiem... Mężczyzna ze swej strony jeszcze mniej się krępuje. Gdy ma dosyć swej towarzyszki, mówi jej o tem otwarcie i opuszcza ją, nie wywołując żadnej tragedji.

Wyświęcenie na kobietę

Jeżeli miłość, oczywiście w interpretacji Zachodu, nie jest u Guahibów sentymentalna i poetyczna, to jednak chęć podobania się, zwierzęcy i towarzyski instynkt uwodzicielski nakazuje im wyrafinowaną kokieterję, uzewnętrzniającą się w ozdobach i delikatnych malowidłach, któremi pokrywają swą nagość.

W ich życiu, pozbawionem wszelkich ceremonij, istnieje jednak obrzęd, który musimy uważać za niezwykły: gdy dziewczynka Guahibo staje się kobietą, — między 7—8 rokiem życia — rodzina prowadzi ją do specjalnej chaty, zwanej „yaripubeh"; wstęp do tej chaty jest dla mężczyzn wzbroniony. Chronią się tam kobiety z woli księżyca raz na miesiąc i pozostają w niej trzy dni, leżąc na hamaku i zachowując ścisły post.

W tym okresie dziewczynka musi publicznie dać dowód, że jest kobietą w całem tego słowa znaczeniu. Przynosi więc wodę i drzewo, rozpala ognisko, gotuje jedzenie i rozpoczyna tkanie opaski. Gdy szczęśliwie zdala ten „egzamin" prac gospodarskich, mężczyźni ze wsi, którzy tymczasem łowili ryby, przynoszą czarownikowi swój połów. Wszyscy zbierają się dookoła niego, poczem zaczyna się odprawianie czarów. Biorąc po kolei każdy gatunek ryby, czarownik wykrzykuje:

— Duchu *duweynu* (rodzaj szczupaka)! — bądź przychylny dla młodej dziewczyny! Nie czyń jej zła, gdy cię spożyje! Oddal od niej jadowite węże! Chroń jej przed wrogami! Duchu *ikucha!* (rodzaj pstrąga). Bądź przychylny i t. d.

Ta sama uroczystość powtarza się przy innych gatunkach ryb. Po dokonaniu ostatniego zaklęcia, obrzęd jest zakończony i młoda dziewczyna, obecnie uważana za dorosłą, udaje się wesoło do domu rodziców. Wolno jej teraz obcować z mężczyzną. Ale dopóki nie powróci raz jeszcze do chaty *yaripubeh*, rodzice nie mogą jej wydać zamąż. Tego żąda naród Guahibów, ich przodkowie oraz ryby z północno-zachodnich dopływów Orinoko.

„Voilà", Paryż.



Dzielny wojak Guahibów.

Żółte niebezpieczeństwo w Ind. holenderskich

(Dokończenie ze str. 4)

nazwiskiem Carl Binger. Gdyśmy się kładli pewnego wieczora spać, spokój był idealny, ale nazajutrz rano, obudziłem się z okropnym bólem głowy, ledwie się mogłem ruszać, twarz moja była czerwona i spuchnięta, oddychanie sprawiało mi trudny do zniesienia ból. Cały dom robił wrażenie wymarłego. Nagle dały się słyszeć okropne krzyki kobiet, wołających: „Złodziej!... Na pomoc!" Ukazał się Binger, również z opuchniętą twarzą, ledwo trzymając się na nogach. Jego dwoje dzieci jęczało na łóżkach, żona zaś pogrążona była w kamiennym śnie W całym pokoju, na łóżkach, w pokojach służby, w biurze znaleźliśmy delikatny proszek z tartych kwiatów „ketjubung". Jest to pnącz o białych kwiatach, w rodzaju dzwonków. Kwiaty te, ususzone i utarte są straszliwą trucizną śmiertelną, o ile znajduje się w pożywieniu. Jest to również niezwykle silny środek usypiający, gdy w postaci proszku wydmuchany jest przez rurkę bambusową.

Broń, znajdująca się na plantacji, znikła bez śladu. Na Jawie każdy karabin i każdy rewolwer jest dokładnie rejestrowany. Nawet pożyczanie broni jest wzbronione i żaden tubylec nie ma prawa jej nosić. Aby się bronić przed stadami dzików, jawajczycy używają przestarzałych, marnych strzelb.

Oprócz broni Bingerowi skradziono dużą sumę pieniędzy, starożytne „krisy" oraz szable krajowców. Natychmiast dano znać telefonicznie władzom o napadzie, wysłano patrole, ale bandyci ukryli się na moczarach, gdzie byli zupełnie zabezpieczeni przed pościgiem.

W roku 1819 holendrzy zajęli bogate wyspy Sundzkie. Po stu latach kolonizacji, w roku 1919 rozpoczęły się pierwsze rozruchy komunistyczne. Dziś tą to sporadyczne incydenty, jakieś morderstwo, bunt w rodzaju tego, który zdarzył się na pokładzie „De Zeven Provincien". Ale jutro może to być krwawa wojna. Oddawna „żółte niebezpieczeństwo" przestało być czczym frazesem — oddawna jest to rzeczywistość!

Wkrótce, na Oceanie Spokojnym rozegrają się losy białej rasy, i to, co się dzieje dzisiaj w kolonjach holenderskich, może jutro zdarzyć się w posiadłościach angielskich.

„Gringoire", Paryż.

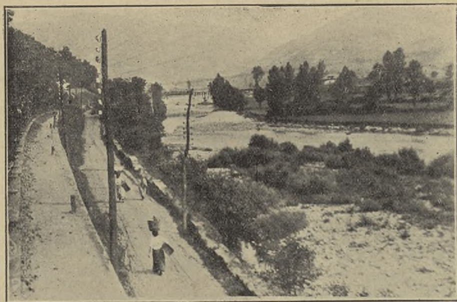
———

NA DALEKIM ZACHODZIE EUROPY

Baskowie — zagadką Europy

Między hiszpańskim rządem centralnym a prowincjami baskijskiemi wybuchł zatarg o samorząd. Przez wieki baskowie zazdrośnie strzegli swojej niezależności politycznej, i obecnie chcą, aby uszanowano ich prawo samostanowienia w podatkach i o samorządzie, zagwarantowane im przez koronę hiszpańską kilkadziesiąt lat temu, a zagrożone obecnie pewnemi poczynaniami centralistycznemi rządu w Madrycie.

Prowincyj baskijskich jest trzy — Biskajska, Guipuzcoa i Alawa, są one wciśnięte w kąt, jaki tworzy zatoka biskajska między Francją a



Charakterystyczny krajobraz prowincji Basków: droga Castro Urdiales pod Santander.

Hiszpanją, i rozciągają się one aż do zachodnich Pirenejów. Po stronie francuskiej również żyją baskowie, ogólną ich liczbę oceniają na 815.000 dusz Biscaya i Guipuscoa są gęsto zaludnionemi prowincjami morskiemi o terenie poprzerzynanym wzgórzami, spadającemi ku morzu stromemi skalistemi brzegami, zoranemi lesistemi jarami.

Zaludnienie Alavy jest słabsze i ta prowincja jest łatwiej dostępna dla wpływów zewnętrznych. W średniowieczu prowadziła tędy droga pielgrzymów do Santiago, co nie pozostało bez wpływu na charakter tej dzielnicy.

Historja basków streszcza się w ich zaciekłej walce o utrzymanie niezależności. W r. 1370 te prowincje, dotąd rządzone przez władców miejscowych, zostały razem przyłączone do królestwa kastylskiego. Władcy hiszpańscy przysięgli jednak, że uszanują niezależność, prawa i zwyczaje basków. Dekrety Cortezów królewskich nabierały mocy w prowincjach baskijskich dopiero po ratyfikacji przez miejscowe parlamenty.

Ta autonomja trwała do roku 1833, kiedy to Ferdynand VII umarł, a jego brat Don Carlos, popierany przez basków, wysunął swoje roszczenia do tronu hiszpańskiego i stanął na czele rokoszu przeciwko swojej siostrzenicy Izabelli II. Wojna domowa trwała lata i zakończyła się klęską rokoszan, przyczem baskowie dostali się w ręce zwycięzców, zdani na ich łaskę i niełaskę. Zniesiono wówczas większość ich przywilejów autonomicznych i podjęto wysiłki w celu zasymilowania ich z resztą Hiszpanji. Kraj nie uspokoił się; rozruchy powtarzały się, i ostatecznie baskowie, senatorowie i posłowie w Cortezach, zdobyli napowrót swój lokalny samorząd z kontrolą podatków włącznie. Wzamian za to zobowiązali się płacić rządowi centralnemu pewną wspólnie ustaloną sumę rocznie.

Antropologowie i historycy przez długi czas głowili się nad strukturą rasową basków. Język ich jest pokrewny językom węgrów, finów i indjan amerykańskich, lecz ich pochodzenie jest wyraźnie nie-azjatyckie.

Niektórzy uczeni twierdzą, że oni są potomkami afrykańskich berberów, legendarnych mieszkańców Atlantydy lub zagubionych dziesięciu plemion izraelskich.

Baskowie mają zwyczaje, obrzędy i prawa zupełnie odmienne od swoich sąsiadów. Nie znoszą życia miejskiego, ich kobiety mają często równe prawa z mężczyznami, uznają oni wspólną własność w ramach rodziny. Wiele z tych cech zanika powoli pod wpływem prowincyj południowych i kleru.

Najcharakterystyczniejszą właściwością basków jest ich język, zupełnie odmienny od indo-europejskich języków Europy. Francuskie przysłowie głosi, że djabeł uczył się języka baskijskiego przez siedem lat i wyuczył się dwóch słów. Ponieważ czasownik baskijski zawiera zazwyczaj wszystkie zaimki, przysłówki i inne pokrewne części mowy, a rzeczownik w analogiczny sposób zawiera przyimki i przymiotniki, często zdarzają się słowa o 50 literach. Przytem w każdej nieomal wsi panuje inny swoisty djalekt i specjalna wymowa.

Najprostszem wytłumaczeniem pochodzenia basków jest to, że wywodzą się oni od plemion iberyjskich, które zajmowały półwysep pirenejski za czasów inwazji rzymskiej. Kiedy wizygoci a potem frankowie zalali Galję i przekroczyli Pireneje, pchnęli przed siebie iberyjskich Vaskończyków, którzy musieli się schronić w zachodnich dolinach Pirenejów. Tu już nie było szerokich przełęczy, jak Romcewal, gdzie Roland poległ za Karola Wielkiego. Było to około r. 587, wkrótce po upadku zachodnio-rzymskiego cesarstwa. Po latach, kiedy saracenowie wtargnęli do Hiszpanji od strony południowej, wypierając hiszpanów na północ i na zachód, baskowie musieli się chronić jeszcze głębiej w swoje górskie kryjówki.

Przez cały okres panowania saracenów na półwyspie pirenejskim baskowie tylko raz byli niepokojeni przez zbrojny napad.

„John Bull", Londyn.

POCZUCIE HUMORU BASKÓW

Baskowie są narodem poważnym, lecz posiadają wysoko rozwinięte poczucie humoru, i w konflikcie z rządem centralnym w Madrycie zaszło kilka bardzo zabawnych incydentów.

Podczas pewnej bardzo ważnej walki byków w Bilbao tłum przygotowywał się do wygwizdania gubernatora, jako przedstawiciela rządu centralnego, by w ten sposób dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

Gubernator dowiedział się o tem i porozstawiał policjantów dokoła areny.

Kiedy gubernator wchodził na trybunę, policjanci odwrócili się twarzami do publiczności i przygotowali się do notowania tych, którzyby w jakikolwiek sposób dali wyraz swoim uczuciom. Tłum w okamgnieniu zorjentował się, i nikt nawet słowa nie pisnął przez cały czas.

Inny przypadek ubawił niezmiernie Bilbao. Mianowicie wysłano dwunastu detektywów z Madrytu dla inwigilowania przywódcy socjalistycznego Don Indalecia Prieta. Widok otyłego posła, przechadzającego się przez główne ulice Bilbao, eskortowanego krok w krok przez „tajną" policję, stanowił nielada uciechę dla ludności tego miasta. Detektywi mieli tak ścisłe rozporządzenie w sprawie tej inwigilacji, że formalnie deptali po cieniu socjalistycznego posła, lecz jako ludzie zamiejscowi nie mogli się zorjentować, kiedy Don Prieto wszedł do domu przechodniego, którego druga brama wychodziła na zupełnie inną ulicę. Czekali kilka godzin przed bramą, aż wreszcie zorjentowali się, że dowcipny poseł pozbył się ich troskliwej opieki.

Tymczasem miasto Bilbao było bez burmistrza przez trzy tygodnie. Codziennie gubernator zapraszał kogoś innego i ofiarował mu tę godność, otrzymując tradycyjną odmowę. Nakładał również już tradycyjną karę za niesubordynację i rozglądał się za kimś innym, z którym się ten proceder powtórzy. Stanowisko gubernatora jest w tych warunkach doprawdy nie do pozazdroszczenia.

Madryd wysyła siły zbrojne, oddziały karabinów maszynowych, które zapełniają ulice miast, a baskowie uśmiechają się, dowcipkują, unikają najmniejszych objawów gwałtu, przeprowadzają swoje nielegalne wiece i wybory spokojnie, nie ostentacyjnie, i żyją sobie po swojemu z godnością narodu, który uważa siebie za najstarszą rasę w Europie.

„The Observer", Londyn.

Smutny stan rycerzy w Irlandji

Brytyjska chorągiew powiewa dumnie na gmachu Królewskiego Kingstown Jacht Klubu. Jest to ostatni ślad władzy Imperjum Brytyjskiego i dawnego dobrobytu Irlandji. I to jest powód, dlaczego wykonywane były próby usunięcia jej za pomocą bomb.

Poza tym gmachem leżą miasta i pastwiska kraju, który prowadzony jest ku bankructwu, upadkowi i — komunizmowi.

Podstawowa gałęź przemysłu, na której przez wieki całe opierał się byt ludności kraju, znajduje się w przededniu całkowitego upadku. Ministrowie i deputowani współzawodniczą ze sobą w tem, kto ma zadać ostatni cios temu przemysłowi. Hodowla bydła — twierdzą oni — musi być zniesiona. Grunty rolników muszą być im zabrane i zużyte pod uprawę pszenicy.

Wielkie gospodarstwa rolne jedno za drugiem chylą się ku upadkowi. Małe gospodarstwa idą w ich ślady. Przemysłowcy i pracownicy idą tą samą drogą — i znów głosują za de Valerą.

Pięć szóstych ludności Irlandji obecnie karmionych jest zaciekłą nienawiścią do Anglji i do anglików. Nienawiść zasłania im ich własne interesy materjalne. Godzą się z każdym nowym niedostatkiem i każdem nowem cierpieniem, jeżeli tylko przychodzi w ogniu wojny z wrogiem, którego cała Irlandja uważa za pobitego i zwyciężonego, gotowego uczynić większe ustępstwa, niż w roku 1921.

Wrogość ta jest podsycana przez polityków, znajdujących się u władzy. Bez ich machinacyj pięć szóstych Irlandji zamiast jednej piątej byłyby zadowolone z warunków życia pod panowaniem flagi angielskiej, w spokoju i dobrobycie.

OBRAZEK Z DZISIEJSZEJ IRLANDJI



Wybuch bomby w Daudalk, w Irlandji.

Mali rolnicy zależni są od przemytnictwa, by móc znaleźć rynek dla swojej nadprodukcji. Mali handlowcy muszą sprzedawać na długoterminowy kredyt, albo wcale nie sprzedawać. Każda gospodyni domu płaci wygórowane ceny za towary, produkowane o kilka mil od jej domu, i za węgiel bezwartościowy. A z wysokich stanowisk rzuca się nowe inwektywy na głowy anglików — i wszystko jest — all right.

WALKA MIĘDZY PRZYWÓDCAMI

Na polach i na ulicach strzały rewolwerowe są tak regularne, jak zegarek. Obywatele, znieczuleni długiem przyzwyczajeniem, nie zatrzymują się ani na odgłos tych strzałów, ani nawet się nie oglądają. Od czasu do czasu jakaś kula trafia do celu. „Milicja czyni dochodzenie", donoszą gazety. Ale ona nic nie stwierdza, nie wykrywa.

Pozatem wszystkiem wyłania się prawdziwa siła kraju. Siła Armji Republiki Irlandskiej znana jest jedynie jej dowódcom. Jest ona dość duża i stale rośnie.

Posłowie do parlamentu stwierdzili — i nikt temu nie zaprzeczył, — że cztery piąte szefów armji to zdecydowani komuniści. Wyżsi przedstawiciele Kościoła stwierdzili — i to również znikąd nie było zaprzeczone — że pieniądz i agitacja pochodzą z Moskwy. Nędza, nienawiść i bezprawie rosną bez przeszkód i czerwona jutrzenka już się zbliża.

Posiadający i nieposiadający dzielą ziemię między sobą. Ci ostatni, to 80 procent ludności — a ilość ich stale wzrasta. Byli agitatorzy Sin-Feiniści, którzy nikomu nie ustępują w przechwałkach o ilości zastrzelonych żołnierzy angielskich, zaniepokojeni widmem utraty tego, co im jeszcze pozostało, zapełniają szeregi niebieskich koszul.

ZMNIEJSZENIE SIĘ TURYZMU

Walki uliczne między nimi a dawnymi ich towarzyszami są na porządku dziennym. Turyści, którzy dawniej masowo odwiedzali kraj, obecnie unikają jego granic. Autobusy należą do rzadkości. Dublin sam wygląda zewnętrznie mniej okazale, niż przeciętne miasto handlowe Anglji.

Życie publiczne jest nawskroś przesiąknięte korupcją. Coraz to inni urzędnicy, poborcy podatkowi, pociągani są do odpowiedzialności za sprzeniewierzenie funduszów publicznych. Niejednokrotnie wykryto, że urzędnicy komunalni posady swoje otrzymali za pieniądze.

Niedawno temu kardynał Mac Rory wydał odezwę do irlandczyków wszelkich wyznań, by dla dobra kraju zaprzestali wzajemnych morderstw. Ludzie, znający sytuację, są zdania, że jest to głos wołający na puszczy.

Młodzi księża katoliccy są po stronie partyj, najbardziej czynnych politycznie. Nienawiść do Anglji i protestantyzmu tchnie ze wszystkich ich kazań.

Z gmachów kościelnych powiewają flagi trójkolorowe, które są chorągwiami śmierci dla połowy Irlandji.

Obecnie zamierzone jest wydanie ustawy, legalizującej ten stan rzeczy.

„The Sunday Times", Londyn.

PRZESILENIE AMERYKAŃSKIE

Na marginesie polityki Roosevelta

Mimo, że młodym ludziom w Waszyngtonie wydaje się, iż robią rewolucję, ten ich New Deal jest mniej więcej tak stary, jak świat. Każde pierwotne plemię ma swoją gospodarkę planową, do której muszą się naginać nawet bogowie plemienni. Również na wyższych stopniach rozwoju społecznego pozostaje ta tendencja, choć tu bogom pozostawia się ich indywidualizm. Gdyby panowie z Trustu Mózgów mieli tylko dosyć czasu na studjowanie Biblji, znaleźliby już tam próbki planowej ekonomji.

Specjaliści od Marxa powiadają nam, że konflikty zbrojne są stale następstwem konfliktów ekonomicznych, lecz zapominają dodać, że chodzi tu o konflikty między systemami „gospodarki planowej". Przykładem może być amerykańska wojna domowa. Stany południowe miały swoją ściśle opracowaną planową ekonomję, popartą tradycyjnym aparatem moralnoteologicznym, a przeciw tej planowej ekonomji stanęła druga, również planowa ekonomja, która wykazywała napewno niemniejszą dozę zapału proroczego. Planową ekonomją była również prohibicja. Innemi słowy w nowej polityce Waszyngtonu niema właściwie nic nowego.

Z drugiej strony żaden z adwokatów liberalizmu gospodarczego, t. zw. „laissez faire" nigdy nie propagował kanibalizmu gospodarczego. Wiadomo natomiast, że oni wszyscy byli moralistami, zaś ich teorje dają się mniej więcej streścić w następującej tezie: „Człowiek obznajomiony dokładnie daną gałęzią przemysłu lub handlu ma większe szanse, by sobie i drugim przysporzyć dobrodziejstw, niż teoretyk żyjący utopjami lub polityk ubiegający się o głosy".

Dlatego opierali się ingerencji władzy, ale bynajmniej nie przeciwstawiali się prawu i sprawiedliwości.

Panowie z New Deal'u głosili emfatycznie, że kapitalizm umarł, lecz w istocie byli oni niepoprawnymi klientami i spadkobiercami kapitalizmu, a ilekroć kapitalistyczna gospodarka wykazywała pewne znaki poprawy, śpieszyli by te korzyści na swój rachunek przepisać. Jeżeli jednak była mowa o jedynem konsekwentnem przeciwieństwie kapitalizmu — komuniźmie. Trust Mózgów odżegnywał się od niego jaknajbardziej stanowczo.

To ma być planowa gospodarka? Jeżeli tak, to walka psów na ulicy jest planową strategją. Wspólna nić, wiążąca tych panów — to nie metoda, ani cel, lecz przywilej, a mianowicie przywilej budowania swoich genjalnych zamków na lodzie kosztem podatnika. Brak śród nich zupełnie jedności, łączy ich tylko „spójnia władzy w plądrowaniu dobra publicznego". Co jeden z nich postanowi, drugi zaprzecza, co jeden zrobi, drugi swojemi zarządzeniami pokrzyżuje.

Jeden zwalcza zadłużenie rolnictwa, drugi je popiera pośrednio. Ostatnio w kołach New Deal'u nie mówią już o planowej gospodarce, lecz o eksperymencie. Owszem, jest to eksperyment, lecz przeprowadzany w zakopconem laboratorjum, gdzie pajęczyna pokrywa szkła mikroskopów, a każda probówka cieknie.

O co właściwie chodzi panom z Waszyngtonu? Nikt tego nie wie, zdaje się, że nawet sam *Führer*. Nie wiadomo czy zwraca on się nalewo, czy naprawo — czy dąży do rzeczywiście planowej gospodarki, czy też jest jej przeciwnikiem. Jednego dnia znajdujemy się na prostej drodze do komunizmu, na drugi trąbi się do bezładnego odwrotu na platformę demokratyczną z 1932 r.

Jak długo będzie się rozwijał ten proceder, w którym porzuca się pomysły w chwili, kiedy się przystępuje do ich realizowania?

Tego pytania obrońcy New Deal'u nie stawiają sobie. Jeżeli zaś przemówią, to czynią to w tak mglistych ogólnikach, że doprawdy nie można się w tem zorjentować.

Trust Mózgów stracił zaufanie kraju, bo rodzi się podejrzenie, że w tym Truście Mózgów jest wszystko, prócz właśnie mózgów. Jeżeli zaś mają mózgi, dlaczego one nie działają, a jeżeli działają, dlaczego bractwo nie zasiądzie w spokoju i nie uzgodni jakiegoś rozsądnego planu prac.

Jednem z ich pierwszych przyrzeczeń było zniesienie ludożerczej konkurencji między bliźnimi i klasami. Jak dalece to przyrzeczenie było dotrzymane? Tylko w granicach subsydjowania jednej klasy kosztem drugiej. Pierwsza klasa składała się, zdaniem Trustu Mózgów, z samych nieszczęśliwych i zacnych niewiniątek (jak się okazało w większości farmerów, a obejmująca dziś już również tłumy chronicznych bezrobotnych), drugą zaś klasę stanowili sami spekulanci i wyzyskiwacze — lecz dziś należą do niej wszyscy amerykanie, którzy ciężko pracowali i odłożyli sobie coś na czarną godzinę.

Dochody z New Deal'u poszły nie do uczciwych i skrzętnych ludzi, lecz do łotrów i włóczęgów, zaś ciężary tej imprezy spoczęły na barkach dobrych obywateli, którzy za każdy dolar płacą uczciwą pracą i proszą tylko by ich pozostawiono w spokoju.

Rzeczowe triumfy New Deal'u są wszystkie iluzoryczne, tylko w jednej dziedzinie sukces — o ile o sukcesie mowa być może — został odnotowany: obciążono podatników bezwładną *ca morrą* magów i astrologów, którzy sprawiają, że rząd zaczyna być uważany za coś szkodliwego.

Rolnictwa nie usanowano, banki znajdują się w tem samem położeniu, co przedtem. Miano usanować warunki pracy, tymczasem robotnik musi jeszcze wciąż walczyć o swoje elementarne prawa.

Cen nie ustalono, racjonalny podział dochodów społecznych jest jeszcze wciąż muzyką dalekiej przyszłości. Tak zwana przez marksistów djalektyka New Deal'u jest właściwie zlepkiem płytkich pomysłów i nieprawdopodobnych hipotez. Przyciśnięci do muru, jak np. ostatnio Dr. Tugwell, zasłaniają się względnością prawdy.

W rzeczywistości jednak istotnym błędem New Deal'u było to, że go kraj tak długo znosił.

Zaś jedynymi beneficjantami tego karnawału są właśnie gentelmeni z Trustu Mózgów. Dla nich utopja staje się bujną rzeczywistością, huczną i dobrze płatną posadką. A za nimi zaś korzysta ze żłobka legjon sekretarzy, dziennikarzy, bibljografów i wszelkiego rodzaju ciurów. Sobie oni naprawdę pomogli kosztem cudzym. Ryzyka nie ponoszą żadnego, nie mają bowiem nic do stracenia — prócz mózgów.

L. H. MENCKEN
„Current History", Nowy Jork.

Podłoże strajku amerykańskiego

Sytuację gospodarczą w Ameryce pogarsza jeszcze sytuacja wewnętrzno-polityczna. brak tam bowiem ścisłej spójni narodowej, potrzebnej dla zwalczania przesilenia tej miary, co obecne.

Naród amerykański znajduje się obecnie w ogniu wielkiej walki społecznej, której wyniku przewidzieć narazie nie można, albowiem obie strony są równie silne. Sytuacja jednak jest zupełnie odmienna, niż przed laty. Obie wielkie partje polityczne — republikanie i demokraci — różniące się tylko pewnemi koncepcjami w dziedzinie liberalizmu gospodarczego i zwalczające się tylko na terenie politycznym, znalazły się dziś wobec narastającej nowej partji, albo ściślej mówiąc, każda z nich stanęła wobec możliwości rozłamu w swojem własnem łonie. Rozłam ten obejmuje zarówno demokratów jak i republikanów. I tu i tam młode żywioły radykalne, rekrutujące się przeważnie z młodzieży akademickiej, przeciwstawiają się starszym konserwatywnym i, przynajmniej w nastrojach i w dążeniach, są jednakowe, jeżeli chodzi o siły i możliwości na przyszłość. Ton dominujący wśród młodych — to dążenie do reform społecznych.

Czynniki konserwatywne grupują się dokoła nowopowstałej „Ligi Wolności"' mającej za sobą poparcie kapitalistów, a ostatnio nawet i Hoovera, który znowu po roku milczenia wystąpił na arenę polityczną. Wypowiadają one nieubłaganą wojnę New Deal'owi.

Drugi obóz natomiast, jeżeli można go nazwać już obozem, pozostający pod przewodnictwem rządu i federacji pracy obrał sobie za hasło słowa poety Jamesa Russel Lewella z czasów odbudowy narodowej po wojnie domowej:

— Nowe czasy nakładają nowe obowiązki, i to co wczoraj było złe, może dziś się okazać dobre.

Harmonja między pracą a kapitałem, do której dążono, a w której prezydent Roosevelt nie stał ani po jednej ani po drugiej stronie, lecz lawirował między niemi, ta upragniona harmonja przerodziła się w zaciekłą i otwartą walkę. Robotnicy, czując za sobą poparcie rządu, sięgnęli po oręż strajku. Obecny strajk w przemyśle włókienniczym jest wyraźnie popierany przez rząd i ogólnie uważa się ten strajk za próbę ogniową New Deal'u. Zdaje się, że rząd obecnie skłania się wyraźnie nalewo, co wywołuje poważne zaniepokojenie nawet w sferach do niego zbliżonych.

„Corriere della Sera", Medjolan.

FOTOMONTAŻ Z ŻYCIA ROOSEVELTA:



12-letni chłopiec, student prawa, młody adwokat, gubernator stanu Nowy Jork i Prezydent Roosevelt — zebrani w jednym pokoju.

Rząd a prywatna gospodarka

Jak bieda to do rządu...

Przez spalone spiekotą równiny Kansasu wloką się setki stad głodnego, i spragnionego bydła, prowadzonego na rynki, gdzie rząd je zakupi na ubój. Za każdem stadem jedzie ponury właściciel duszący się prawie od kurzu.

Zaledwie tydzień temu ten sam właściciel nie chciał sprzedać tego bydła rządowi: niech rząd gdzieindziej szuka mięsa dla wygłodzonych współobywateli. Każdy właściciel stada był twardym indywidualistą. Niech licho weźmie rząd i posuchę! On troszczył się tylko o siebie.

Kiedy jednak posucha okazała się o wiele gorsza, niż nawet rząd przewidywał, 200.000 sztuk bydła idzie pod nóż, a właściciele obawiają się, czy rząd nie odmówi zakupienia wszystkiego.

Ten marsz tysięcy wychudłych sztuk bydła symbolizuje konflikt między jednostką a społeczeństwem. Jak długo jednostka może iść swoją własną drogą, wierzy w prawo przeżycia najsilniejszego i w hasło:

Niech się rząd nie miesza do „business'u".

Skoro jednak nadchodzi kryzys i zagraża jednostce, wtedy pędzi ona do rządu o pomoc.

Tak było z bankierami, z kolejami, z towarzystwami ubezpieczeń i kamienicznikami. Pod obuchem kryzysu wszyscy pędzili o pomoc do rządu. Tak powstała FDIC, NRA, RFC, HOLC. Nie ulega wątpliwości, że kiedy powstawała każda z tych kombinacyj alfabetycznych hodowca z Kansas przeklinał rząd za to, że przychodzi z pomocą bankom, przemysłowcom i mieszczuchom, którzyby „napewno nie chcieli pracować, gdyby im dano robotę". A teraz bankierzy, przemysłowcy i mieszkańcy miast przeklinają rząd za to, że pomaga hodowcom. Poprostu szasta pieniędzmi z naszych podatków — powiadają.

Niech się rząd do interesów nie miesza. Chyba, że ja potrzebuję pomocy w moich własnych interesach.

„World Telegram", Nowy Jork.

WALKA ZE ZBYTECZNYM HAŁASEM

Minister komunikacji, Leslie Hore Belisha, zasługuje na wdzięczność za to, że zabronił używania klaksonów w obrębie t. zw. „strefy ciszy"' w obrębie Londynu w godzinach nocnych. Ten zakaz, który wszedł w życie w ubiegłym tygodniu, osiągnął, zdaje się, dobre wyniki. Spowodował on znaczne zmniejszenie się hałasu na ulicach, a równocześnie szoferzy zaczęli ostrożniej kierować samochodami. Cały jednak kraj cierpi jeszcze spowodu niepotrzebnych hałasów, ale widać, że minister postępuje planowo i wytrwale.

Nowy system regulowania ruchu w Londynie jest tylko początkiem ograniczeń, jakie trzeba będzie nałożyć na sprawców niepotrzebnych hałasów. Publiczność powinna użyczyć jak najdalej idącego poparcia Lidze dla Zwalczania Hałasu. (18 Old Cavendish Street W. 1) w jej pożytecznej kampanji. Pomysł rozporządzenia zakazującego trąbienia po nocach podsunęła ministrowi właśnie Liga dla Zwalczania Hałasu, która jednak w swoich projektach nie ograniczała się do samego Londynu.

Klaksony są przyczyną zdenerwowania publiczności i zbyt często nadużywa się ich. Nikt chyba nie zachęci pieszego przechodnia, aby dla wyprzedzenia drugiego przechodnia zaczął nagle wrzeszczeć i ryczeć na całe gardło, a przecież w tym celu wielu kierowców samochodów trąbi i używa klaksonów. Pozatem wiele samochodów i motocyklów wogóle sprawia za dużo hałasu. Niektórzy motocykliści umyślnie tak postępują, aby ich jak najdalej słychać, kiedy przejeżdżają.

Zaznaczyć należy, że ani klakson, ani hałaśliwy wóz nie przyczyniają się do uniknięcia wypadków. Hałas wprawia w zamieszanie zarówno kierowcę, jak i przechodnia i przyczynia się raczej do wywołania wypadku.

Gdyby zabroniono używania klaksonów zarówno w dzień, jak i w nocy, i to nietylko w Londynie, lecz w całym kraju, ilość wypadków na jezdniach znacznie by się zmniejszyła. Wypadki są przeważnie spowodowane nadmierną szybkością. Nierozważny kierowca, uważa że może jeździć z szybkością, jaka mu się tylko po doba, i im więcej trąbi, tem szybciej może jechać. Czas, żeby parlament zajął się tem, i to ostro. Auta zabijają rocznie około 7.000 ludzi i przyprawiają o kalectwo jeszcze więcej. Gdyby koleje wyrządzały połowę tych szkód, wywołałoby to protest całego społeczeństwa, które zmiotłoby wszelką opozycję wobec reform.

Lecz samochód i motocykl nie są jedynemi powodami hałasu. Istnieje wiele innych niepotrzebnych hałasów i ich usunięcie byłoby wielce pożyteczne. To, co się zwykle nazywa muzyką uliczną, jest w wielu miejscach tylko zbytecznym hałasem, za który, rzecz ciekawa, ustawodawcy są odpowiedzialni. Bo w istocie, jeżeli człowiek spokojnie przechodzi ulicą i wyciąga rękę, można go pociągnąć do odpowiedzialności, jeżeli natomiast ten sam człowiek rzępoli na skrzypcach lub hałasuje na gramofonie, przysługuje mu prawo zbierania pensów, za swoje rzekome świadczenia. To samo można powiedzieć o tak zwanym śpiewie.



Oxford Circus, jeden z najruchliwszych punktów Londynu, ze ściśle oznaczonemi kierunkami jazdy dla samochodów i przechodzenia dla pieszych.

To jest jedna z dziedzin, na którą Liga dla Zwalczania Hałasu zwróciła uwagę. W wielu dzielnicach Londynu udało się przy pomocy policji uzyskać w tej dziedzinie znaczną poprawę. Sprzedawcy uliczni i gazeciarze są również przyczyną zbytecznych hasałów. Nie ma powodu tolerowania takich zbytecznych krzyków, tembardziej, że kilku sprzedawców ulicznych zapewniało mnie, że i bez krzyku mogą równie dobrze sprzedawać.

Innem źródłem zbytecznego hałasu, który domaga się w wielu miejscach regulacji, są dzwony kościelne. Jest samo przez się zrozumiałe, że kościołom powinno być wolno ogłaszać początek nabożeństwa tradycyjnem dzwonieniem. Lecz często to dzwonienie przeciąga się zbyt długo, a bliższe poznanie tej sprawy napewno wykaże, że dzieje się to wyłącznie dla przyjemności dzwoniących. A to jest szczególnie przykre dla sąsiedztwa, zwłaszcza jeżeli dzwony są źle sharmonizowane.

To naprowadza nas na zasadniczą prawdę, że źródłem wszelkich zbytecznych hałasów jest okoliczność, że wielu ludzi zbyt łatwo zapomina, że prócz nich jeszcze ktoś istnieje. Jeżeli dorosły lub dziecko pragną sobie ulżyć hałasując, żadne z nich nie zastanawia się, czy to postronnym nie sprawia przykrości. Niepotrzebne hałasy są nietylko przyczyną zdenerwowania dla wielu ludzi, lecz na dłuższą metę stają się powodem rzeczywistych cierpień fizycznych. Dlatego też wszyscy lekarze i cała ludność powinni popierać akcję podjętą przez Ligę dla Zwalczania Hałasu.

„Sunday Times", Londyn.

Kandydat na Disraeli'ego — Leslie Hore Belisha

Leslie Hore Belisha, poseł do Parlamentu z Devonport, minister komunikacji; lat od 36 do 41, według relacyj różnych władz, czy jest to wina władz, czy też przemilczenie ze strony tego dziwnego polityka niewiadomo. Kiedy wszedł do Parlamentu był jedynym posłem liberalnym z południowo-wschodniej Anglji. Nie odznaczył się niczem podczas kadencji 1924—1929, wysunął się w pierwsze szeregi dopiero w kadencji 1929—31. Przyczynił się bardziej, niż ktokolwiek, do powstania rządu narodowego. Organizował poparcie liberałów dla Mac Donalda. Otrzymał urząd podsekretarza w ministerstwie handlu. Przeniesiony do ministerstwa skarbu w rok po tem. Mówią o nim, że ma ambicję być Disraelim XX wieku, ma dużo z kwiecistej błyskotliwości Disraeliego. Jako mówca, ustępuje tylko Lloyd George'owi. Jest druzgocący w polemikach parlamentarnych. Świat polityczny dotychczas nie wie jednak, czy podwaliny jego sławy są z granitu, czy też tylko z piasku.

„The Sunday Referee", Londyn.



Czcigodny „Times"

Znany paryski tygodnik „Je suis partout" zwrócił się do wybitniejszych dziennikarzy i publicystów z zapytaniem na temat początków ich karjery. W jednej z tych odpowiedzi, której autorem jest p. Stephan Lausanne, znajdujemy nader ciekawą charakterystykę londyńskiego „Times'u".

Pozostawaliśmy wówczas w ścisłym kontakcie z „Times'em" i właściwie nauczyłem się pracy dziennikarskiej w biurach tego dziennika. „Times" jest instytucją, z której anglicy są tak samo dumni, jak ze swojej floty. A szacunek ten jest w zupełności usprawiedliwiony. „Times" podkreśla ze szczególną dumą, że nigdy w ciągu swojego istnienia (150 lat) nie przekręcił, ani nie zmienił tekstu żadnej otrzymanej depeszy. Przedewszystkiem zaś szczyci się tem, że nigdy depesz nie fabrykował, to znaczy, nigdy nie podawał za depeszę wiadomości, które nie napłynęły drogą telegraficzną.

Przypominam sobie pewne wydarzenie, które szczególnie silne wywarło na mnie wrażenie. Berliński korespondent „Times'u" przybył do Londynu i przywiózł swojemu redaktorowi artykuł o stosunkach niemieckich, który zdaniem samego redaktora naczelnego zawierał bardzo ciekawe wiadomości.

— Rozumie się — rzekł korespondent do redaktora naczelnego — że zadatuję artykuł z Berlina.

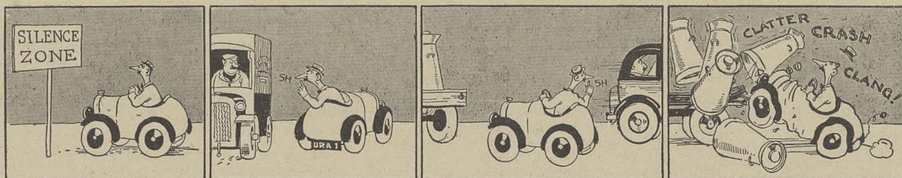
Możecie sobie wyobrazić minę naczelnego redaktora! Stary gentlemen potrząsał energicznie i ze wzburzeniem głową.

— To jest zupełnie niemożliwe, my publikujemy tylko depesze rzeczywiste. Ale niech pan wróci do Berlina i stamtąd swój rękopis nada telegraficznie.

Ostatecznie zgodzono się na inne, prostsze rozwiązanie kwestji, jednak ściśle w ramach uczciwości zawodowej, jak ją „Times" pojmuje. Artykuł ukazał się z uwagą: „Od naszego korespondenta, który chwilowo bawi w Londynie".

„Je suis partout", Paryż.

The Man You'd Like To Kick



Skutki nadmiernej ostrożności w „strefie milczenia i ciszy".

„Sunday Express", Londyn.

Alain Serdac

ROZKOSZ STRACHU

Był zimowy zmierzch. Niebo, zasnute nisko zwisającemi chmurami, zwiastującemi śnieg; ogień na kominku, wokół którego zgromadziło się całe towarzystwo i cisza za oknami wprawiły wszystkich w dziwny nastrój. W wygodnych fotelach, paląc fajki, zebrani panowie zaczęli opowiadać niesamowite historje, zaczerpnięte z osobistych przeżyć, książek i wspomnień.

— Ostatecznie — odezwał się ktoś — żadnego z tych opowiadań nie można porównać z jakąkolwiek nowelą Edgara Poe.

— Czy pan sądzi, — przerwała jedna z pań — że Poe rzeczywiście przeżywał uczucie strachu, i że w tem należy się dopatrywać źródeł jego opowieści?

— O, jest to bardzo skomplikowana sprawa! Jestem pewien, że nie pisał on swych nadzwyczajnych opowiadań na zimno; zwłaszcza drugi tom zdradza wyraźnie szaleństwo autora.

Potoczyła się ożywiona dyskusja na temat strachu. Wówczas najstarszy z towarzystwa, który dotychczas nie zabierał głosu w rozmowie, poprosił o chwilę ciszy. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, o śnieżnobiałych włosach. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

— Pragnę państwu opowiedzieć pewną prawdziwą historję, proszę więc o kilka chwil uwagi.

Strząsnął popiół swej fajki do kominka i zaczął:

— Wątpię, czy ktokolwiek z państwa przypomina sobie marną ilustrację, która ukazała się jakieś 30 lat temu w „Le Petit Journal Illustré", przedstawiającą pokój w nieładzie i niezasłane łóżko, na którem leżały dwa ciała. Pod ilustracją był podpis: „Niesamowity dom gwałtownej śmierci". Jakaś symboliczna zjawa wyciągała w kierunku trupów swe zakrzywione szpony.

Naprawdę nie była to zbrodnia — okoliczności tej tajemniczej śmierci znane są dzisiaj tylko mnie jednemu. Ponieważ osoba, która przeżyła ten wypadek, umarła niedawno, nic nie stoi mi na przeszkodzie, aby podzielić się z państwem memi wiadomościami.

W tym czasie znałem miłego chłopca, nazwiskiem Piotr Dacier.

Pisał on wówczas feljetony i nowele, do niektórych dzienników prowincjonalnych, pisał, aby żyć, nie mając wyższych aspiracyj. Pewnego dnia dał mi do przeczytania swój ostatni utwór, zatytułowany: „Piętno Demona". Ze zdumieniem swierdziłem znaczne postępy u mego przyjaciela zarówno w formie, jak i stylu — oczywiście nie omieszkałem mu o tem powiedzieć.

Od tego czasu zaszła w nim zmiana. Tematem jego twórczości stały się tragiczne, najokropniejsze dramaty, mające posmak tajemniczości, w których zjawiska nadziemskie grały najważniejszą rolę.

W tym czasie mieszkaliśmy obaj w Paryżu i widywaliśmy się dość często, to też ze smutkiem mogłem stwierdzić i wewnętrzne zmiany w moim przyjacielu. Z wesołego, lubiącego kobiety i zabawy towarzysza stał się odludkiem, zaczął unikać towarzystwa i zamykał się coraz bardziej w sobie.

Pewnego dnia znikł. Wyjechał z Paryża, nie pozostawiwszy adresu. W trzy tygodnie później... Ale nie uprzedzajmy wypadków. — Opowiem państwu wszystko, co zaszło, na podstawie pamiętnika, który zostawił, oraz zeznań pewnej osoby...

Piotr Dacier wyjechał do N..., jak twierdził, celem zwiedzenia miasta, w którem miała się rozegrać akcja jego następnej powieści. Otóż wybór N... nie był przypadkowy: znajdował się tam dom, w którym straszyło, o czem Dacier dowiedział się z gazet. Dom ten stał tuż nad brzegiem rzeki, dotykając jej swemi fundamentami. Wygląd jego byłby zupełnie normalny, gdyby nie okrągła wieżyczka, górująca nad okolicą.

Dom otoczony był wówczas płotem, na którym wywieszona była karta z napisem: „Do wynajęcia z umeblowaniem." Piotr Dacier zdecydował odrazu wynająć ten dom, udał się do notarjusza i natychmiast podpisał kontrakt na cały rok, nie bacząc na to, że willa była w stanie zupełnej ruiny. Sporo czasu zabrało mu poszukiwanie służącej, gdyż żadna nie chciała przychodzić do tego niesamowitego domu, w którym straszy. Wreszcie znalazł jakąś posługaczkę, której musiał przyrzec, że będzie zawsze w domu, gdy ona będzie sprzątać. Gdy tylko mieszkanie było jako tako uporządkowane, wprowadził się tam. Było to w końcu października.

Było to wieczorem. Piotr zapalił lampę w jadalni, następnie, ująwszy głowę w dłonie, zaczął zastanawiać się nad tematem powieści, którą zamierzał napisać. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Szybko połknął obiad, przygotowany przez służącą, poczem z lampą, kałamarzem i papierem w ręku wszedł po schodach na wieżę.

W ciągu dnia urządził tam sobie gabinet: stół, fotel i sofa tworzyły całe umeblowanie. Podszedł do okna i otworzył je. Lodowate, mgliste powietrze przeszyło go nawskroś. Noc była ciemna, na drugim brzegu rzeki, daleko, migotały nieliczne latarnie gazowe. Poczuł, że drży... że przenika go strach... Czuł, że otacza go atmosfera domu grozy... Tego właśnie szukał! Jakiś ptak wydał ostry krzyk, czyjeś skrzydła otarły się o niego... rzucił się wtył, dygocąc! Zamknął okno, chwycił lampę, sprawdził, czy ma przy sobie zapałki. Miał zamiar zwiedzić willę od góry do dołu. Światło w zagłębieniach schodów stwarzało cienie, w których wyobraźnia jego doszukiwała się duchów. Jadalnia nie zrobiła na nim wrażenia, ale wchodząc do salonu, wstrząsnął się: dwa razy zrzędu dał się słyszeć jakiś jęk.

Stanął na progu, jak przygwożdżony, nie ważąc się na zrobienie kroku naprzód. Sądząc z jego pamiętnika, znajdował się wówczas w transie i rozkosz przeżywanego przez niego strachu równała się zadowoleniu morfinisty po zaspokojeniu zgubnego nałogu. Wszedł do pokoju i przebiegł go wzdłuż i wszerz.

Nagle, usłyszał jakgdyby płacz... Nadstawił uszu... Odgłosy nie powtarzały się. Wznowił swój obchód, uspokojony, czy też... zawiedziony. Pozostała jeszcze piwnica. Zeszedł po schodach, pokrytych pleśnią. Nie miał odwagi podnieść oczu na sufit. Gdy się znalazł na środku piwnicy, potykając się o resztki skrzyń i stare, połamane łóżko, jęk, który usłyszał w salonie, powtórzył się kilkakrotnie za każdym razem wchodząc z innego punktu piwnicy, jakgdyby krąg potępieńców otoczył go ze wszystkich stron. Opanowując szalony strach który go zaczynał ogarniać, Piotr wolno i dokładnie zbadał mury piwnicy. I nagle z ust jego wydarł się przeraźliwy okrzyk: w zagłębieniu piwnicy spostrzegł szkielet, oparty o mur...

Oto kilka słów z jego pamiętnika, które na zawsze wryły mi się w pamięć:

„Coś gnało mnie do ucieczki... daleko... byle dalej od tej piwnicy, od tej willi, nawet od tego miasta... A jednak, równocześnie odczuwałem rodzaj sadystycznej rozkoszy, wobec której blakły moje najpiękniejsze przeżycia miłosne... Rozkosz... tak, to jest jedyne określenie tego uczucia, które mnie ogarniało, jak pożądanie, a potem... w chwili, gdym spostrzegł szkielet, było to, jak spazm, podczas którego chciałoby się umrzeć... Co się stało dalej, nie pamiętam..."

Jeżeli przerażenie nie zabiło go wówczas, to w każdym razie naruszyło jego system nerwowy, który już i tak pozostawiał wiele do życzenia.

Po przeżyciach tej nocy Piotr znalazł się, rzecz prosta, w idealnym nastroju, aby napisać niesamowitą nowelę. W kilku słowach streszczę państwu jej treść: młode małżeństwo zakłada się, że spędzi noc w domu, w którym straszy (oczywiście opis domu ściśle odpowiada willi, w której autor mieszkał). Pewien stary oryginał-sadysta przyjmuje zakład. Pierwsza część nocy przechodzi doskonale. Młodzi ludzie, wyczerpani miłością zasypiają, ale na krótko, gdyż jakieś dziwne odgłosy ich budzą, — chcą uciec, ale drzwi są zamknięte od zewnątrz. Nazajutrz znajdują ich martwych, bez kropli krwi, z małemi rankami na szyjach. Niewiadomo, czy stali się oni ofiarami tajemnych mocy, czy też stary sadysta dokonał na nich mordu, celem zaspokojenia swej żądzy wampira.

Gdy nazajutrz wieczorem Piotr przeczytał ukończoną nowelę, odczuł, jak zanotował w pamiętniku, pewne zniechęcenie. Nie dlatego, żeby nie był z niej zadowolony, ale napisanie tej noweli nie sprawiło mu takiej przyjemności, jakby to było przed kilkoma miesiącami...

Wówczas w mózgu jego zrodził się plan, który można nazwać potwornym. Ponieważ opis willi, gdzie zmarli małżonkowie, odpowiadał ściśle rzeczywistości, odtworzył postać młodej kobiety na wzór jednej ze swych dawnych kochanek, z którą zresztą utrzymywał nadal przyjacielskie stosunki. Napisał do niej list, w którym zaznaczył, że wyjechał z Paryża, aby móc pracować w spokoju, ale nudząc się okropnie w tej samotni, prosi ją o ile oczywiście zechce, aby przyjechała do niego w odwiedziny, przyczem załączył czek na pokrycie wszelkich wydatków.

Młoda kobieta, którą nazwiemy Leą, nie mając nic lepszego do roboty, przybyła na trzeci dzień na dworzec w N... Piotr oczekiwał ją; wsiedli do fiakra i źle oświetlonemi, pustemi ulicami pojechali do jego willi.

Gdy się znaleźli w jadalni, gdzie czekała na nich kolacja, zawołała:

— Ale też z ciebie oryginał! Jak tyś tu nie umarł z nudów? To stare umeblowanie! Ta pleśń naokoło! Tu jest strasznie! Gdybym cię tak dobrze nie znała, bałabym się okropnie!

Piotr, stojąc nawprost niej, pił jej słowa, pożerał ją wzrokiem i cieszył się z niepokoju, jaki zaczynał ogarniać jego towarzyszkę, nie domyślającą się niczego. Zamknął na dwa spusty drzwi od ogrodu; była jego więźniem. Gdy skończyła jeść, zapytał ją, czy zechce obejrzeć całą posiadłość.

— Mam nadzieję, żeś rozpalił ogień w moim pokoju?! Jestem cała skostniała.

Zapalił lampę, i wprowadził ją na wieżę, oświadczając, że tutaj spędzą noc.

Młodą kobietę ogarnął lęk, że jej przyjaciel postradał zmysły. Wtedy Piotr wyznał jej, poco ją sprowadził do siebie, powiedział, że w tym domu straszy i jaką rozkosz daje mu strach. Chciał jej dać możność poznania tajemnych dziedzin, uczestniczenia w jego niezrównanych przeżyciach... Będzie ją kochał wśród duchów...

Lea słuchała go ze wzrastającym niepokojem, ale z udanym uśmiechem powiedziała:

— Chyba nie myślisz, że uwierzę w tę blagę?!

— Nie? — zapytał słodko — chodź ze mną, a zrozumiesz to lepiej.

Otworzył drzwi i popchnął ją naprzód. Gdy schodziła, drżąc, ze schodów, odezwały się znane mu jęki.

— Co to jest? — zapytała.

— To one! — odpowiedział i wziął ją pod ramię, zmuszając do posuwania się naprzód. Im dalej szli, tem jęki stawały się silniejsze, bardziej przejmujące.

— Puść mnie, puść mnie — prosiła, zmartwiała z przerażenia.

— Boisz się, prawda? Czy to nie cudowne? Patrz!

Puścił promień lampy na zagłębienie, gdzie sterczał szkielet. Krzyknęła dziko, uwolniła się z jego uścisku i uciekła. Pobiegł za nią, krzycząc, dysząc żądzą. Doskoczyła do drzwi wejściowych, chwyciła za klamkę, a widząc, że jest uwięziona, szarpnęła całem ciałem w tył, jakby pragnąc wyrwać drzwi z zawiasów. Naprόżno! Piotr przybiegł w samę porę, aby ją chwycić zemdloną w ramiona. Zawlókł ją na wieżę i nie próbując nawet przywrócić jej do przytomności, posiadł swą ofiarę w paroksyźmie szału.

O świcie Lea obudziła się. Miała wrażenie, że przeżyła jakiś koszmar. Ale ciało, leżące obok niej, ten ponury pokój zdradzały, że to nie był sen. Zrozumiała natychmiast, że została zgwałcona i wzdrygnęła się z obrzydzenia. Piotr spał spokojnie. Pomyślała o ucieczce. Ale jak? Na parterze powinny być okna...

Na palcach doszła do drzwi, tknięta jednak jakiemś niewytłumaczonem przeczuciem, zbliżyła się do łóżka. Mężczyzna nie żył. Śmierć musiała nastąpić przed kilku godzinami. Anewryzm serca wskutek nadmiaru rozkoszy.

Z zimną krwią, godną podziwu po takiej nocy, zeszła na dół i wydostawszy się przez okno, zameldowała policji o zgonie Piotra.

Początkowo podejrzewano ją, ale sekcja zwłok wykazała, że śmierć była naturalna. Lea zachowała się w całej sprawie bardzo ładnie; ukryła pamiętnik zmarłego oraz rękopis noweli. W ten sposób pamięć Piotra nie została zbrukana i rodzina jego o niczem się nie dowiedziała.

Stary pan skończył swe opowiadanie. Nastąpiła przygniatająca cisza. Nareszcie jakaś pani zapytała:

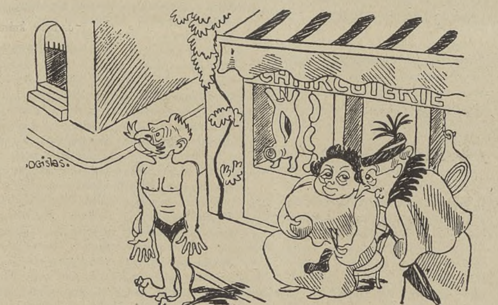
— Cóż to jednak było, te jęki w całym domu i ten szkielet w piwnicy?

— O, to bardzo proste! Rzeka w tem miejscu była wyjątkowo rwąca i płynęła tuż przy fundamentach domu; okropne jęki były najzwyklejszem zjawiskiem akustycznem.

— A szkielet? — pytano z zaciekawieniem.

— To nie był szkielet — był to manekin, używany przez krawcowe, wrzucony do piwnicy. Lea, opowiadając mi tę historję, była tego pewna. Oczywiście, przyćmione światło i nastrój grozy, wytworzony przez Piotra zrobiły swoje.

„Gringoire", Paryż.



Żona rzeźnika: — Wczoraj przez pomyłkę zamknęłam męża na całą noc w lodowni, obecnie muszę go wystawić na słońce, by odtajał. *„Candide", Paryż.*

Wesoły i przystojny książę Jerzy

Zaręczyny z księżniczką grecką — niespodzianką dla Londynu

Książę Jerzy najmłodszy syn króla Anglji, który ma niebawem pobrać się z grecką księżniczką Maryną, jest jeszcze bardziej ruchliwy podczas sezonu londyńskiego, niż jego brat, książę Walji.

Przystojny mężczyzna, bardzo dobry tancerz, lubiący polowanie, auto, nocne lokale i teatr, ma wszystkie wieczory w „sezonie" zajęte. Jest on jedynym z synów królewskich, który lubi sam prowadzić auto i co rok otrzymuje nowego Bentley'a. Jako przyjaciel znanego automobilisty Babe Barnato, często udaje się wraz z nim podczas wyścigów samochodowych do Brooklands w pobliżu Londynu.

Książę bardzo lubi operę, lecz jego pasją są tańce. W kraju, w którym prawie wszyscy mężczyźni źle tańczą, on tańczy zachwycająco i wygląda tak, jakgdyby rozmowa, prowadzona z partnerką, sprawiała mu przyjemność.

Cały Londyn znał jego przywiązanie do pewnej młodej kobiety, pochodzącej ze znanej rodziny. Prawie zawsze widziano ich razem, czy to na śniadaniu w Embassy Club, czy też wieczorami w znanych restauracjach.

Królowa sarkała na tę znajomość. Zabroniła nawet synowi pokazywać się publicznie z ową kobietą, lecz młoda para nic sobie nie robiła z tego zakazu, a nawet na kilka dni przed wyjazdem tej ładnej blondynki na Riwierę, można było widzieć ich razem na tarasie jednej z restauracyj londyńskich.

Londyńczycy nie spodziewali się podobnego rozwiązania tej sprawy: zaręczyn z księżniczką Maryną. Przypuszczano raczej, że książę Jerzy będzie wysłany w nową podróż po koloniach — tym razem do Australji.

W zasadzie książę Jerzy, nie będąc żonaty, powinien był mieszkać w pałacu Buckingham. Nie chciał jednak być pod kuratelą rodziców. Wolał zająć apartament w pałacu Saint-James ze swym bratem księciem Walji, do którego jest bardzo przywiązany. Obaj bracia bardzo się kochają i świetnie spędzają czas w swem towarzystwie.

Niedawno książę Walji z jakąś znajomą amerykanką, a książę Jerzy również z jedną ze swych znajomych wybrali się pewnego wieczora o północy do nocnego lokalu — Monseigneur w Picadilly, by posłuchać znaną pieśniarkę francuską Lucienne Boyer. Książę Jerzy nie zmęczył się słuchaniem piosenek artystki, która musiała zareprodukować cały swój repertuar. Książę ubóstwia muzykę taneczną i lekką do tego stopnia, że niektórzy kapelmistrze, gdy wyruszają do Nowego Jorku, czynią co leży tylko w ich mocy by sprowadzić stamtąd nowe melodje. Jeden z wielkich magazynów hurtowych w West End ma polecenie posyłać księciu każdą nową pieśń, każdą nową płytę, nim się jeszcze ukaże na rynku.

Książę otrzymuje 10.000 funtów szterlingów rocznie, przyznanych mu przez rząd. Otrzyma o 15.000 więcej, gdy się ożeni. Wówczas nadadzą mu prawdopodobnie także samodzielny tytuł książęcy, tytuł „duc'a" — nie prince'a — możliwe, że Duc of Kent.

Jego narzeczona jest bardzo mało znana w Londynie, aczkolwiek przybyła tam po raz pierwszy w towarzystwie swej starszej siostry przed dziesięciu laty. Obie księżniczki spędziły w Londynie jeden sezon, ale towarzysko nie udzielały się zbytnio. Księżniczka Maryna gra w tenisa, zeszłego roku była w Ascot, oraz interesuje się malarstwem, gdyż sama ma zdolności do malarstwa.

„Aux Ecoutes", Paryż.



Książę Jerzy i jego narzeczona, księżniczka grecka, Maryna, w uzdrowisku jugosłowiańskiem Bled.

Małżeństwa w świecie filmu

Rozwodzą się i żenią... dla reklamy

Robert Donat, który powrócił niedawno z Ameryki, gdzie nakręcał film, twierdzi, że rozwody są tak częste wśród artystów filmowych tylko dlatego, że biorą oni sprawy sercowe zbyt poważnie. Są oni w gruncie rzeczy naiwni, łatwo podlegają wszelkim emocjom i są niestali w swych uczuciach. Dramatyzują swoje przeżycia do tego stopnia, że możnaby uważać postępowanie ich za obłudne i fałszywe, a jednak jest to zupełnie szczere. Za każdym razem wierzą niezłomnie, że nareszcie teraz znaleźli tę jedyną, wybraną istotę. Ale natychmiast po ślubie złudzenie pryska i... rozwodzą się po to, aby w krótkim czasie wstąpić w nowy związek małżeński!

Jest jeszcze jedna przyczyna, dla której gwiazdy filmowe rozwodzą się tak często, — mianowicie reklama. We wszystkich zawodach zdarzają się zdrady małżeńskie, ale nie kończą się rozwodem, gdyż życie tych ludzi nie jest własnością publiczną. W Hollywood należy do etykiety zawodowej, że o ile kocha się kogoś, należy wziąć z nim ślub.

Constance Cummings, która poślubiła ostatnio Benna Levy, pisarza dramatycznego, i mieszka obecnie w Londynie, nie wierzy, ażeby ilość rozwodów w Hollywood była większa, niż gdziekolwiek indziej. Można tam tak samo łatwo być szczęśliwym w małżeństwie, jak w każdem innem mieście. Harmonja małżeńska uzależniona jest od ludzi, a nie od tego, czy in nego miasta. Spójrzcie — mówi Constance Cummings — na dziesiątki par w Hollywood, które pobrały się przed wielu laty — z Clive Brookiem, Leslie Howard'em i Wallace Beery'm na czele.

Wallace Beery poślubił swą żonę Ritę przeszło 10 lat temu i właśnie niedawno wypowiedział się na temat szczęścia w małżeństwie.

Podkreśla on, że dzieci są dla małżeństwa czynnikiem decydującym, bez względu na to, czy będą to dzieci własne, czy też adoptowane.

Sławna żona nie może zapewnić szczęśliwego pożycia w małżeństwie. On sam wie coś o tem, gdyż był przez pewien czas mężem Glorji Swanson. Jego obecna żona porzuciła ekran, gdy się pobrali, i zgodziła się ze swoim Wally, że tak będzie najlepiej.

Wierzy on niezłomnie, że mieszkanie musi być dla małżonków ośrodkiem ich wspólnego życia, a nie miejscem, gdzie się przychodzi spać. Ponadto, jego zdaniem, nadmierne zastanie pieniędzmi jest przyczyną połowy rozwodów w Hollywood. Ludziom, nieprzyzwyczajonym do bogactwa, uderza ono do głowy, co powoduje większość nieszczęść.

Irena Dunn, która wyszła zamąż sześć lat temu za dentystę w Nowym Jorku, twierdzi, że kobieta powinna zrezygnować ze swej karjery dla małżeństwa, ale niektóre kobiety, między niemi ona sama, nie będą nigdy naprawdę szczęśliwe, o ile nie będą miały dodatkowo jakiegoś absorbującego je zajęcia.

Warner Baxter jest człowiekiem starej daty w sprawach małżeńskich. Swoje 16-o letnie małżeństwo tłumaczy on w ten sposób, że pobrał się z Winifred Bryson na wiele lat przed przybyciem do Hollywood.

Claudette Colbert i Norman Forster tworzą od wielu lat najszczęśliwszą parę w Hollywood. Mają oni oddzielne mieszkania. Czarująca Claudette twierdzi bowiem, że praca w filmie bardzo wyczerpuje nerwowo i gdy mąż i żona wracają wieczorem do wspólnego domu, zdenerwowani i zmęczeni, burza jest nieuniknioną.

„The Picturegoer", Londyn.

Cywilizacja klęską Sjamu

Król Sjamu z małżonką objeżdżają obecnie stolice Europy. Niektóre dzienniki na podstawie ilości ich bagażu i kostjumów golfowych wysnuwały wnioski o ich przejęciu się europejskiemi manierami i gustami.

Nic jednak nie powiedziano o postępie europejskiej cywilizacji śród ludu sjamskiego.

Sjam jest wielkim krajem. Jego zachodnimi sąsiadami są anglicy, wschodnimi zaś francuzi. Gdyby nie febra, która jest dla europejczyków zabójcza, Sjam dawnoby już był podzielony, albowiem kraj ten jest bardzo bogaty. Jedenaście miljonów ludzi żyje na przestrzeni większej, niż Francja. Jest to prawdziwy raj na ziemi, obfituje w wspaniałe owoce i w zboże. Nikt tam nie znał niedostatku aż do roku 1916, kiedy angielscy inżynierowie zbudowali system kanalizacji.

Niedola zawitała do Sjamu w chwili, kiedy przybyli z Północy chińczycy i wykryli niezmierne lasy. Zaczął się wywóz tykwy (teak) sjamskiej na cały świat.

Kompanje okrętowe, które wywoziły drzewo ze Sjamu, nie chciały, aby okręty zawijały próżne do portów sjamskich. Powstały z tego traktaty handlowe. Sjamczycy musieli teraz kupować wszelkiego rodzaju przedmioty, których nie potrzebowali, ani nie chcieli.

Musieli się martwić, jak spłacą wyroby bawełniane z Manchesteru, podczas gdy dawniej jedwabne szaty nic ich nie kosztowały, albowiem wyrabiali je sobie sami.

Podrożał i ryż, albowiem musiano go eksportować, by uczynić zadość obowiązkom, wynikającym z traktatów handlowych, niezrozumiałych zupełnie dla przeciętnego obywatela Sjamu.

I wtedy w tym kraju obfitości zabrakło ryżu wogóle. Dalej trzeba było płacić podatki, by pokryć inwestycje, poczynione przy budowie systemu kanalizacyjnego. W języku potocznym znaczyło to, że już nie można było sobie pozwolić na ryż, tylko na rzadką wodnistą zupkę ryżową.

Po tych wszystkich inowacjach Sjam zdobył najdoskonalszy zabytek cywilizacji nowoczesnej — kryzys.

Nadobitek Sjam musiał zawrzeć traktat handlowy z Japonją, albowiem Japonja była sprzymierzeńcem podczas wojny!

Teraz sjamczycy sumują po nocach swoje długi przy świetle żarówek z Jokohamy, a w dzień oddają swoje perłowe naszyjniki i szafirowe klejnoty, aby zapłacić za japońskie szkło.

„The Sunday Referee", Londyn.

Awanturniczy polityk okupuje wielkie miasto

Sen. Huey P. Long — dyktator Luizjany

Senator Huey P. Long znowu stał się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Tym razem jednak „żarcik" posunął się zbyt daleko. Dzięki swoim wpływom na gubernatora stanu, sprawił on, że w mieście New Orleans ogłoszono stan wojenny, a to tylko dlatego, że on miał jakąś sprzeczkę polityczną z burmistrzem tego miasta, p. T. Semmes Walmsley.

Wbrew zarządzeniu trybunału, gubernator odmówił wycofania wojsk z miasta. Senator Long broni się, że doradzał gubernatorowi, by się dostosował do zarządzeń trybunału, lecz jego krytycy niebardzo w to wierzą. Zwracają oni uwagę na fakt, że proklamacja, wprowadzająca częściowo stan wojenny, była wydana z hotelu senatora Long'a i dlatego są oni przekonani, że sen. Long jest odpowiedzialny za to, że gubernator odmówił wycofania wojska.

Konflikt obraca się dokoła nienawiści, jaką senator Long pała do burmistrza Walmsley'a. Long usiłuje pozbawić burmistrza jego władzy nad departamentem policji w New Orleans. Władze ustawodawcze stanu opanowane przez senatora, wydały ustawę w tym sensie. Burmistrz jednak twierdzi, że to prawo jest sprzeczne z konstytucją. Wyższe instancje sądowe mają o tem zadecydować.

Dyskusja w sprawie wycofania wojsk wynikła po śmierci dwóch członków dozoru kościelnego. Gubernator Allen, który jest stronnikiem Long'a, z miejsca zamianował dwie kreatury Long'a. Urzędnicy samorządowi wyraźnie obstawali przy tem, że takie wakanse powinne być obsadzane na podstawie specjalnych wyborów. Dlatego też burmistrz Walmsley nie dopuścił mianowanych przez gubernatora asesorów do objęcia urzędowania. Senator Long postarał się wówczas o zamianowanie całego nowego dozoru. Obie rady, dawna i nowomianowana, założyły sobie biura w mieście. Przeciwnicy Long'a oskarżają go o to, że zamierza zdobyć wpływ na wymiar podatków w mieście.

Punktem kulminacyjnym tej awantury było sprowadzenie przez senatora Long'a i gubernatora do miasta około 600 ludzi z Gwardji Narodowej. Wojsko wertowało nawet listy wyborcze do ciał samorządowych.

Przeciwnicy Long'a spodziewają się, że jego dyktatorskie poczynania, stawiające spokojne miasto w stan oblężenia, skierują opinję publiczną przeciw niemu i to już na zawsze, i że samowola w stanie zakończy się bezpowrotnie.

„The American Observer", Waszyngton.

„BALONEM" NA 925 MTR. WGŁĄB OCEANU

Dokonane ostatnio wzloty do stratosfery zwróciły ogólną uwagę na doniosłość zagadnień, związanych z odległemi warstwami, ale niedawno dwaj przyrodnicy amerykańscy, Dr. William Beebe i Dr. Otis Barton, pobili rekord w sensie wręcz odwrotnym. Cele ich, tak samo jak uczonych belgijskich, były czysto naukowe; 16 sierpnia r. b. zanurzyli się na 925 mtr. wgłąb morza, w pobliżu Wysp Bermudzkich.

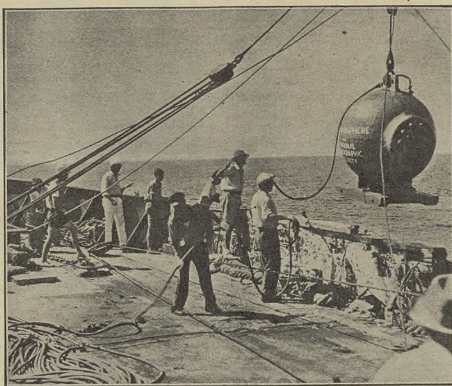
Nic prawie nie wiadomo o życiu podmorskiem. Oceanografja, nauka o morzach i oceanach, niewiele jeszcze wie nawet o sprawach, które uważano powszechnie za wyjaśnione.

Dwaj uczeni użyli do zanurzenia się, pustej kuli ze stali, mogącej wytrzymać olbrzymie ciśnienie słonej wody, które na głębokości 925 mtr. wynosi 95 kg. na 1 cm². Kula ta posiada rodzaj oczu z grubego szkła, dzięki którym można obserwować z wewnątrz życie w głębinach.

Wewnątrz „balonu" znajduja się najrozmaitsze aparaty naukowe, a przedewszystkiem aparat fotograficzny, piecyk elektryczny — temperatura opada znacznie przy zanurzaniu się w morze — oraz reflektory o potężnych snopach światła, przechodzącego przez specjalne otwory w stalowej ścianie.

Dodajmy do tego, że zapas tlenu zapewniał przez pewien czas swobodne oddychanie dwum ludziom, podczas gdy gazy wydychane przez nich były pochłaniane drogą chemiczną.

Aby opuścić się w głębiny, dwaj uczeni kazali się zamknąć szczelnie w swym „balonie podwodnym". Można sobie wyobrazić, z jaką dokładnością sprawdzono uprzednio, czy w powierzchni kuli niema najmniejszej szczeliny, która w mgnieniu oka spowodowałaby napełnienie się kuli i zatopienie znajdujących się w niej ludzi. Po dokonaniu tych przygotowań załoga statku „Freedom" zanurzyła „balon", zawieszony na grubej linie stalowej, przedtem wypróbowanej starannie, w miejscu, gdzie głębokość morza określono w przybliżeniu na 925 mtr. Co 30 mtr. przerywano opuszczanie „balonu", celem umożliwienia uczonym przeprowadzenia badań. Przez cały czas Beebe i Barton porozumiewali się telefonicznie z załogą „Freedom".



„Batysferyczna" gondola prof. Williama Beebe zagłębia się w ocean.

Doktorzy Beebe i Barton zwrócili przedewszystkiem uwagę na zmiany, zachodzące w oświetleniu pod powierzchnią morza.

Po zanurzeniu się wgłąb morza — mówi dr. Beebe — jasność słoneczna zmieniła się w szary zmrok, który stopniowo przeszedł w odcień jasno-zielony, potem ciemno-zielony i wkońcu w błękitny o niezwykłej barwie. Na głębokości 700 metrów morze było czarne, jak węgiel.

Tak więc, począwszy od kilkuset metrów głębokości ustaje wszelkie promieniowanie.

— A więc ciemna noc — powiedzą niektórzy. Nie, gdyż istnieją tam inne źródła światła, niż słońce. Ostatnie badania Beeb'a i Bartona potwierdzają to w zupełności.

Piękny widok ukazał się oczom dwuch uczonych amerykańskich, gdy osiągnęli głębokość około 700 mtr.

Dookoła ich stalowego „balonu" poruszały się miljardy maleńkich pływających gwiazdeczek, odcinających się wyraźnie na czarnem tle. Światło emanujące z tych dziwnych stworzeń było tak silne, że badacze mogli dokonać zdjęć fotograficznych wielu potworów podmorskich. Między innemi widzieli oni olbrzymią rybę, długości około 3 mtr. o potwornej paszczy, w której znikały całe masy drobnych świecących żyjątek. Potwory te posiadają organy, wydzielające światło, umieszczone wewnątrz gardzieli, tak, że gdy otwierają paszczę, jest ona jakgdyby iluminowana od wewnątrz. Często też ryby na wielkich głębokościach mają organy świetlne, umieszczone wzdłuż grzbietu.

Do czego służą organy świetlne faunie głębinowej? Odpowiedź wydaje się niezmiernie łatwa: do oświetlania! Jednak uczeni zaprzeczają temu, gdyż przedewszystkiem wielka ilość mikroskopijnych stworzonek wydaje tak słabe światło, że nic niem nie może oświetlić, a pozatem wiele innych zwierząt niema wogóle oczu, wobec czego nie wyciągnęłyby one żadnej korzyści z oświetlenia sobie wody. Trzeba więc znaleźć inne rozwiązanie tego zagadnienia.

Organy świetlne służą najprawdopodobniej, jako aparaty do polowania i przeznaczone są do przyciągania ofiary, tak jak zapalona lampa przyciąga nocne owady, które krążą wokoło niej. Niektóre ryby kierują silny promień światła na swe ofiary, oślepiając je w ten sposób. Po skończonem polowaniu światło gaśnie i myśliwy znika w ciemnościach.

Badania podmorskie w rodzaju tych, które przeprowadzili pp. Beebe i Barton, powtarzane metodycznie, na coraz większych głębokościach i w różnych okolicach, mogą nauczyć nas wielu ciekawych rzeczy. Albowiem to, co wiemy o głębinach oceanów, jest właściwie niczem w porównaniu z tem, co pozostało dotychczas niezbadane.

„Vendémiaire", Paryż.

JEŹDŹCY NOCNI

Wędrówki dusz w Indjach Południowych

Na południu Indyj, gdzie obecnie jeszcze mieszkają potomkowie Drawidów, ciemnoskórych tubylców, niegdyś wypędzonych przez Aryjczyków, czczeni są inni bogowie, niż w Hindustanie. Wprawdzie i tu czci się bóstwa hinduskie, Wisznu i Szywa, gdyż byłoby niemądrem zrywać z potężną kastą bramańską, ale większą cześć oddaje się bogom przodków, tak zwanym „gama devata". Do starożytnych bogów wierni zwracają się w chwilach ciężkich, kiedy posucha i głód zagrażają ludności, a kraj nawiedzany jest przez epidemje.

Podczas gdy w całych Indjach najpotężniejsi bogowie oblekani są w kształty kobiece, na skrajnym południu cieszy się największą czcią bóstwo męskie Ayyanar Prawie w każdej wsi znajduje się świątynia, poświęcona temu bóstwu, ale formy tej czci różnią się między sobą w poszczególnych miejscowościach. Niema kasty kapłanów, która nadałaby temu potężnemu bogowi kształty jednolite, i w ten sposób przybrał on w każdej wsi inny kształt, w zależności od tradycyj miejscowych.

Ponieważ Ayyanar jest przedewszystkiem bogiem, do którego zwracane są modlitwy błagalne o deszcz, w czasie posuchy jego świątynia znajduje się przeważnie przy miejscowej studni lub w pobliżu kanału irygacyjnego.

Jest on jednak zarazem patronem wsi, chroniącym jej przed złemi bogami, którzy zawsze gotowi są sprowadzić choroby i nędzę na mieszkańców. Te złe duchy czyhają wszędzie na swoje ofiary: w grotach między skałami, w krzakach i w gałęziach drzew. Nocą opuszczają swoje legowiska, by czatować na ludzi, straszyć ich i wyrządzać im krzywdy. Są to dusze zmarłych, których niegdyś zamordowano.

Przeciw wszystkim tym złym duchom Ayyanar i jego bóstwa pomocnicze prowadzą ustawiczną wojnę. Ażeby im ułatwić tę walkę носną, mieszkańcy wsi darowują im konie i słonie. W niektórych wsiach widać dwa osiodłane konie o rozmiarach nienaturalnie wielkich, ustawione na koszt wspólny z rożnobarwnych kamieni, przed świątynią.

W miejscowościach, gdzie kult zachował formy prymitywniejsze, niema właściwej świątyni. Tu każda rodzina, gdy potrzebuje boskiej pomocy, poleca miejscowemu garncarzowi wykonanie figury boga na koniu lub na słoniu. Figurkę darowuje się bogu wraz z wódką z ryżu i różnem jadłem. Podczas uroczystości te małe figurki ustawia się w prymitywnie wybudowanej otwartej chatce z dachem z liści palmowych.

Nieraz rozchodzi się daleko wieść o szczególnej sile bóstwa miejscowego jakiejś wsi, i wtedy corocznie tłumy wiernych zjawiają się z całej okolicy, by oddać hołd temu osławionemu bóstwu.

Wielki dzień rozpoczyna się od tego, że postać bóstwa bywa wykąpana w mleku i ozdobiona wiankami. Uroczystość właściwa rozpoczyna się dopiero o zmierzchu. Najpierw przynosi się bóstwu ofiary z trzciny cukrowej, dla której ma szczególne upodobanie, z gotowanego ryżu, bananów i innych owoców. Potem rozpoczyna się muzyka i taniec. Na zakończenie występuje czterech mężów, którzy reprezentują Ayyanar, jego syna i dwuch z najważniejszych członków jego świty. Ustawia się przed nimi naczynia z płonącą kamforą, muzykanci rozpoczynają niesamowitą muzykę, a miejscowi pieśniarze opowiadają o bohaterstwach bóstwa.

Ogłuszeni oparami, silnie podnieceni dzikiemi dźwiękami, czterej prorocy zaczynają wydawać z siebie niezrozumiałe słowa i kręcą się wkoło, jak szaleni. Wtedy główny aktor oddziela się od towarzyszy i zaczyna ogłaszać chaotyczne przepowiednie. Tłum otacza go ciasnym kołem, zasypuje pytaniami i tłumaczy sobie jego odpowiedzi jak tylko może. Inni trzej mężowie tańczą dalej w dzikim rytmie.

Ayyanarowi inne bogi są podwładne. Niektóre z nich są duszami zmarłych, którzy za życia swego zdobyli sobie specjalne zasługi. Inni mają daleko mniej sławną przeszłość: są złemi duchami, wprawdzie poskramianemi przez Ayyanara, jednak nie zasługującemi na pełne zaufanie. Dlatego muszą być udobruchane przez okazywanie specjalnej czci i przez ofiary odkupienia. Ku ich czci muszą być zarzynane świnie i owce.

„Koralle", Berlin.

SARDYNKI A KRYZYS

„Miljony sardynek wrzucono spowrotem do morza".

Wiadomość ta przechodzi z ust do ust wśród gospodyń całej Francji. Podobno w Concarneau i w Douarnenez morze daje zbyt obfity połów, tak samo jak ziemia francuska daje za dużo zboża, za dużo mięsa. Robotnik, urzędnik, emeryt powie:

— Czyż to możliwe. Rybacy nie mogą sprzedać swego połowu, hodowcy nie mogą sprzedać bydła, t. zn. mięsa, a tu nam mówią, że obniżenie kosztów żywności jest trudne... Rząd oraz pracodawcy mogą z łatwością stwierdzić znaczne obniżenie się zarobków; czyż nie mogliby oni uzgodnić cen artykułów żywnościowych z kosztami produkcji. To nie do wiary.

A jednak jest to niemożliwe.

Biorąc jako przykład sardynki oto kilka cyfr, dostarczonych nam w Concarneau:

Obecnie sardynka, kalkulując 100 kg. za 200 frs. (40—50 sztuk na 1 kg.) przynosi 4—6 centimów. Przemysłowcy kupują sardynki po tej cenie, uważając ją zresztą za zbyt wygórowaną, czego rezultatem strajk w Douarnenez.

Po otrzymaniu tych wiadomości zasięgnęliśmy opinji wielkiego dziennika zachodniego, znanego z podawania dość ścisłych notowań giełdowych. Piszemy „dość", albowiem ceny sardynek są zawsze notowane z pewną zwyżką, zupełnie zresztą słusznie, celem podtrzymania kursu.

Oto co czytamy w jednym z numerów tego dziennika:

Połów z 8 sierpnia. 60 statków powróciło przed południem z ładunkiem małych sardynek 300—460 kg. przeciętnie, sprzedanym od 140—160 frs. za 100 kg. Statki zostaną w porcie do czwartku. Następny połów ma być ograniczony do 400 kg. na każdy statek.

Fabryki nie pochłonąć całego połowu, zwłaszcza o tej porze roku, gdy sardynki są małe, a konsument francuski żąda pudełek z dużemi sardynkami. Któż jest winien, że sardynka sprzedawana jest w Paryżu w detalu od 50—60 cent. za sztukę pól-soloną, oraz 75—1.00 frs. za świeżą i dużą sztukę? Niektórzy uważają, że sardynki nie znoszą transportu. Przeciwnie, są one wyjątkowo podatne do przewozu, gdyż są już nieżywe przy załadowaniu do wagonu. Olbrzymie ilości sardynek sprzedawane są w Paryżu. Widocznie więc transportowanie ich jest możliwe. Sprzedawanoby bez porównania więcej, gdyby cena ich była obniżona.

„Je suis partout", Paryż.

Tymczasem sardynki się cieszą

Kto wie, czy mieszkańcy mórz i oceanów nie doszli już do przekonania, że człowiek jest dobrą istotą, która i im chce sprawić przyjemność. Wrzuca przecież do morza tysiące tonn zboża, kawy, cukru i t. p.

Nie wiedzą te biedne zimnokrwiste stworzenia, że człowiek pozbywa się tylko tego, czego sam spożyć nie może. Nie przeczuwają nawet tragedji trudu ludzkiego, jaka się tu na ziemi rozgrywa, nie mają pojęcia o tem, że człowiek jest zmuszony masakrować krowy na nawóz sztuczny, palić w lokomotywach pszenicą, jeżeli nie wrzuci jej odrazu do morza. One nawet nie przypuszczają, że człowiek umyślnie niszczy bawełnę na krzaku, albo degraduje ją do roli materjału, którym brukuje się szosy.

W porównaniu z tem wszystkiem historja bretońskich rybaków ma jednak swój wdzięk osobliwy. Flotylla ich powróciła kilka dni temu po szczególnie bogatym połowie sardynek do wybrzeży ojczystych. Okazało się jednak, że połów ten nie kalkuluje się. Nie było komu rybek sprzedać, nikt skonsumować ich nie był w stanie, więc strapieni rybacy z Cocarneau, kazali sardynkom podzielić los owych tysięcy tonn zboża, cukru i kawy, — wrzucili je spowrotem do ich rodzimego żywiołu.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

LEKCJA DZIENNIKARSTWA

Debjutant w tym trudnym zawodzie winien rozpocząć przedewszystkiem od zapoznania tego co się nazywa „duchem“ danego dziennika. Iluż wybitnych uzdolnionych dziennikarzy połamało sobie zęby, na tej trudnej sztuce, której nie umieli podołać!

Dla ilustracji przytoczymy wypadek, zaczerpnięty z kroniki codziennej: auto przejechało psa na Boulevard Clichy.

Zobaczymy, jak wygląda ten fakt w opracowaniu rozmaitych dzienników.

Ażeby zadowolić redakcje t. zw. wielkich dzienników, jak np. *Journal*, *Matin* lub *Petit Parisien*, należałoby opowiedzieć to wydarzenie w sposób tak dyskretny i tajemniczy, aby czytelnik nie mógł się domyśleć, co się właściwie stało:

„Wczoraj, na jednym z bulwarów, przed znanym music-hallem, samochód popularnej marki przejechał rasowego psa. Właściciel wniósł skargę do sądu“.

Chcąc natomiast utrafić w ton, panujący w piśmie *„Intransigeant“*, należałoby napisać z łezką, aby wzruszone midinetki nie mogły oderwać chustki od oczu:

„...był to mały gryfon, o jasnych, śmiejących się oczach. Kroczył spokojnie po jezdni, poruszając ogonkiem w takt kroków. Nagle zjawił się przed nim potwór, błyszczący, niklowy, straszliwy. Zgrzytnęły przeraźliwie hamulce. Biedny piesek, przestraszony, próbował dobiec do chodnika. Zapóźno!... Szofer wysiadł z auta, spieszy z pomocą — ale piesek już, już wydaje ostatnie tchnienie...

Człowiek nachylił się nad nim i próbował pogłaskać biedne zwierzątko, jakgdyby chciał tym gestem prosić o przebaczenie. I piesek, jakby rozumiejąc, ostatnim przedśmiertnym wysiłkiem polizał tę rękę, która go zabiła.

— Będę ostrożniejszy — szepnął szofer z oczyma, zamglonemi łzami.

Pracownik pisma *„Paris-Soir“* mógłby raczej zapomnieć pióra wiecznego, niż aparatu fotograficznego. Opis wypadku byłby ilustrowany odbitką zmasakrowanych wnętrzności biednego pieska lub jego mózgu rozpryskanego po jezdni.

Reportaż dla *„Action Francaise“* brzmiałby jak następuje:

„Jak długo jeszcze francuzi będą tak pobłażliwi dla niepoprawnych cudzoziemców? Na bulwarze Clichy został brutalnie zmiażdżony przez auto, noszące ostentacyjnie litery C. D., pies, należący do francuza. Przypadek? Wiecznie ten sam wykręt! Dobrze, że nie twierdzą, iż to samobójstwo! Czy sprawdzono chociaż, czyj to był pies? Może to pies, należący do jakiegoś patrjoty, który opłakuje teraz swego czworonożnego przyjaciela! Kto wie, czy szofer nie był w zmowie z wrogami zacnego obywatela, którzy postanowili w ten sposób dokuczyć mu, zgnębić go! Ludzie, którzy otruli Maginot'a i Lyautey'a, znów są na widowni! Baczność, policja!

P.S. Dziękujemy niniejszem obywatelowi, który przysłał nam 6 fr. 60 w imię Boga, Króla, Ojczyzny, czyli po 2 fr. 20 na osobę. Dziękujemy raz jeszcze w imię naszych świętych haseł“. ..

A teraz drugi biegun polityczny — coby napisała *„L'Humanité“*:

„...ten drobny fakcik pozwala nam wysnuć daleko idące wnioski na temat podłości kapitalistów. Wczoraj, na bulwarze Clichy nasz towarzysz Izaak Abramowicz spacerował ze swym pieskiem, którego nazwał „Kapitał“. Właśnie zamierzał przejść na drugą stronę jezdni, gdy z impetem nadjechało auto, należące do jakiegoś faszysty. Szofer ani myślał zahamować. Cóż dla takiego pachołka kapitalizmu znaczy mały robotniczy piesek!

„Kapitał“ był jedynym jasnym promieniem w smutnem, uciążliwem życiu towarzysza Abramowicza. Tow. Abramowicz przyszedł do naszej redakcji i opowiedział nam o śmierci swego psa z ogniem w oku, z zaciśniętemi pięściami, pelen pogardy i nienawiści dla cynizmu faszystów, którzy nie zawahają się przed niczem!...

W Rosji sowieckiej, w kraju, gdzie buduje się socjalizm, nikt nie waży się torturować zwierząt — nietylko dlatego, jak może pomyśleć burżuazja, że niema tam aut, które mogłyby przejeżdżać ludzi, ale przedewszystkiem dlatego, że rząd robotniczy opiekuje się czworonożnymi przyjaciółmi pracującego człowieka!

Towarzysze, komuniści, socjaliści i niezorganizowani—stańcie w zwartym szeregu pod czerwonym sztandarem, aby pomścić niewinną śmierć „Kapitała“!

„Le Rire“, Paryż.

ZAWÓD: ŻER DLA PLUSKIEW

Ubogi hindus daje się pokąsać, aby bogaty mógł spokojnie spać

Przedstawiam wam ludzki pokarm dla pluskiew: to nie dowcip, a krwawa prawda. Istnieją w Indjach ludzie, których co noc dają się gryźć przez pluskwy. Czynią to umyślnie, to jest ich zawód, nawet dość intratny.

Żaden hindus nie zabije nigdy zwierzęcia, ani ptaka, ani nawet gada. W żadnym wypadku. Wierzą bowiem hindusi, że dusze zmarłe, twoja drogi czytelniku, i moja i tego lodziarza na ulicy, po śmierci przenoszą się do innych stworzeń. Jeżeli by się więc zabiło myszkę albo małpę, mogłoby się zdarzyć, że się zabiło małego Wilusia cioci Zuzi, który w młodym wieku zakończył swój żywocik.

Najbardziej ortodoksyjni spośród hindusów, Jainowie, idą jeszcze dalej, nie zabijają nawet owadów. Są to panowie, którzy spacerują po ulicach ze szczotką przy pasie i ilekroć mają gdzieś usiąść, zamiatają przedtem krzesło czy ławę, by, Boże broń, nie zgnieść jakiego chrząszczyka lub innego komara. Dopiero po wykonaniu tej czynności siadają z największą ostrożnością na danem miejscu.

Ktokolwiek jednak podróżuje w Indjach, od wicekróla do najniższego parjasa, musi prędzej czy później natknąć się na pluskwy, pchły i wszy. Nawet czarodziej przed niemi się nie obroni. Ale jeżeli pchła nawiedzi Jaina, on jej nie odpędzi. Ostatecznie może to przecież być sam wujek Ali, w powtórnej ziemskiej wędrówce.

Mimo to bogaci Jainowie — niektórzy z nich są miljonerami, sypiają nie mniej chętnie od nas. A Jain też nie potrafi spać w łóżku, w którem roi się od plugastwa, a wytępić go nie wolno. Aby zagadnienie rozwiązać, wynajmuje się jakiegoś nędzarza nieboraka, który spędza pierwszych kilka godzin w łóżku. Dopiero, kiedy wszystkie pluskwy pożywiły się jego ciepłą krwią, bogaty Jain kładzie się na jego miejsce. Rozumie się, że przy takim wikcie plugastwo tuczy się i mnoży, ale na to niema rady. Nie pozostaje nic innego, jak wynająć jeszcze jednego takiego „ogrzewacza łóżka“ i kazać pluskwom na nim swój głód zaspakajać.

„Neues Wiener Tageblatt“, Wiedeń.

G. B. Shaw

Podczas swojej podróży dokoła świata G. B. Shaw był bardzo uprzejmy dla załogi okrętowej, a nader opryskliwy dla reszty pasażerów. Wdowa po pewnym bardzo znanym pisarzu zbliżyła się pewnego razu do niego na pokładzie okrętu.

— Byłam żoną X. Y., powiedziała.

— Oh, odpowiedział Shaw, a czyją żoną jest pani teraz?, i poszedł dalej.

W portach, zwiedzający okręt często kradli tabliczki z leżaków używanych przez Shawa i jego żonę.

— Myślą, zdaje się, iż to są moje autografy— mawiał Shaw, — a to przecież mogą być autografy p. Coopera.

Cooper był jego stewartem na pokładzie.

Nawiasem mówiąc, jednemu z pasażerów udało się zdobyć notatnik Shawa, w którym znajdowały się zapiski dotyczące prac każdego dnia.

„Daily Herald“, Londyn.

Szpiegostwo w świecie mody

Szpiegostwo, które grasowało niedawno w Paryżu w świecie „wielkiej mody“, znalazło sobie nowe ofiary w Wiedniu wśród krawców, w wytwórniach bielizny oraz trykotaży w Wiedniu.

Pewien nabywca, podający się za przedstawiciela wielkich firm duńskich, oglądał najnowsze kolekcje krawców wiedeńskich, następnie oświadczył, że te same modele widział już w Paryżu, pozcem wychodził. W kilka tygodni później wiedeńskie modele ukazywały się w Paryżu, jako kreacje francuskie. Pewna wiedeńska firma ubranek dla dzieci poniosła w ten sposób znaczne straty.

Prywatny detektyw, wysłany przez eksporterów wiedeńskich, szybko wykrył gniazdo „zbrodni“.

Pewna młoda francuska kierowała w Paryżu szpiegowską „centralą“ modeli krawieckich; pomagał jej w tem rzekomy duńczyk, w rzeczywistości amerykanin. Ten ostatni zresztą miał już pewien zatarg z policją francuską, dla tego też „pracował“ na terenie Wiednia, Monachjum oraz Czechosłowacji.

„Neues Wiener Journal“, Wiedeń.



Redakcja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta I Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sas. **Wydawca: Wydawnictwo „Chronos“ sp. z o. o.**

Druk. „Monolit“, Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.